Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 31 maja 1936 r. Nr. 22



Na Dzień Zesłania Ducha Św.

„Niech się nie trwoży, serce wasze, ani lęka“.

MARJAN BRONISŁAWSKI

21)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

— O jakim to skarbie panowie mówicie? — dał się słyszeć w progu pokoju głos Haneczki.

— A o tym właśnie — zawołał Stefek i dopadłszy do niej, ogarnął ją ramieniem. — O tobie, Haneczko, i o powrocie twojego tatusia, bo jak tylko przyjedzie, zaraz poproszę go o rękę panny Burskiej.

Zarumieniła się jak wiśnia i uciekła spowrotem do kuchni. Po chwili znów zjawiła się w pokoju i oznajmiła, że obiad gotów i pani Lubicz prosi do stołu.

* *

Na drugi dzień Sogan porozumiał się z przełożoną jednego z klasztorów newyorskich i za niewielką opłatą tygodniową uzyskał pomieszczenie dla Haneczki.

Tymczasem Harden dowiedział się w mieście powiatowem, że jego wychowanica była z matką Stefana u sędziego i rozpoczął kroki w celu odebrania zbiegłej dziewczyny. Zaopatrzony w tak zwany „warant", udał się do policji newyorskiej i zażądał, by wydelegowano z nim detektywa lub policjanta, któryby udał się z nim do mieszkania Lubiczowej i, odebrawszy wychowanicę, oddał mu ją do rąk.

Kapitan policji odnośnej dzielnicy, widząc urzędowy rozkaz, podpisany przez właściwe władze, bez trudności zgodził się na żądanie Hardena. Harden zatarł ręce z radości i pewien siebie udał się z detektywem do Lubiczowej.

Jakaż była jego wściekłość i rozczarowanie, gdy matka Stefana oznajmiła mu, że Haneczki niema w jej domu i że dziewczyna znajduje się w klasztorze, pod opieką zakonnic w odległej części miasta.

Chciał namówić detektywa, by udał się z nim do klasztoru, ale ten stanowczo odmówił towarzyszenia mu, tłumacząc się tem, że ma polecenie odebrania Haneczki z rąk Lubiczowej, a ponieważ nie znalazł jej u tej kobiety, nie może czynić dalszych kroków w tej sprawie.

Rozdrażniony do najwyższego stopnia, Harden pojechał do swego adwokata i przedstawił całą sprawę. Adwokat przyznał mu słuszność, ale równocześnie powiedział, że chcąc odebrać Haneczkę z klasztoru, trzeba wytoczyć skargę przeciw zakonnicom, a to potrwa dłuższy czas i wynik takiej skargi byłby niepewny.

Przeklinając Haneczkę i świat cały, Harden powrócił do domu nic nie wskórawszy i zrobił Grecie najokropniejszą awanturę, że nie pilnowała dziewczyny i pozwoliła jej uciec z domu.

W kilkanaście dni potem, gdy pierwsze wrażenie, wywołane zamordowaniem Wintersa, minęło i pisma zapełniły się sprawozdaniami o innych zbrodniach, których nigdy nie brak w wielkich miastach Stanów Zjednoczonych, Harden wydobył z ukrycia kamienie



W Wiedniu istnieje Towarzystwo Ochrony Zwierząt, do którego należą przeważnie uczniowie szkół niższych i średnich. Członkowie towarzystwa posiadają specjalne mundurki i berety. Zdjęcie powyższe przedstawia kilku członków Ochrony Zwierząt.

zrabowane Wintersowi. Przedtem już wynalazł handlarza kradzionemi rzeczami, zwanego w języku złodziejskim „paserem", zamieszkałego w jednem z okolicznych miasteczek i ugodził się z nim co do sprzedaży łupu z krwawej zbrodni.

Niechętnie udawał się do tego sposobu zdobycia pieniędzy, ale nagabywany codziennie przez Gerbera, który po kilka razy na dzień telefonował, dopominając się o część łupu, przypadającą na niego i spólnika, musiał kamienie sprzedać jak najrychlej.

Paser, znający się dobrze na wszelkiego rodzaju kosztownościach, gdyż w swoim czasie był jubilerem, obejrzał przywiezione kamienie i po dokładnem ich zważeniu, ocenił wszystkie na czterdzieści tysięcy dolarów.

— Jakto? — zawołał oburzony Harden. — Czterdzieści tysięcy? Toż wartość tych kamieni przechodzi trzy razy tyle...

— Racja — odparł spokojnie paser. — Nie przeczę, że warte są przeszło sto tysięcy, ale ja mogę dać za nie najwyżej czterdzieści. Czterdzieści tysięcy dolarów gotówką. To moje ostatnie słowo.

Nie mając innego wyjścia, Harden zgodził się na tę cenę, klnąc w duchu pasera i obliczając, ile się jemu samemu zostanie, po załatwieniu Gerbera i tamtego drugiego spólnika.

— Tak, tak, panie Harden — mówił tymczasem paser. — Żałuję nawet, że powiedziałem trzydzieści lub dwadzieścia, bo długo muszę czekać, zanim odbiorę moje pieniądze i zarobię cokolwiek na tych kamykach. Przedewszystkiem muszę je posłać do Europy do szlifowania, co będzie sporo kosztowało, a potem dopiero sprzedawać po kilka sztuk jubilerom. Może nawet będę zmuszony jechać z tem za ocean, a pan wie, ile taka wyprawa kosztuje. Ale skoro raz wyrzekłem słowo, — dotrzymuję.

Z temi słowami otworzył wielką kasę ogniotrwałą i wyliczył Hardenowi czterdzieści tysięcy w banknotach studolarowych.

Harden zabrał pieniądze i natychmiast odjechał spowrotem do New Yorku, gdzie miał spotkać się z Gerberem. Po drodze umyślił dać Gerberowi i jego spólnikowi po pięć tysięcy, a resztę, trzydzieści tysięcy, zatrzymać dla siebie.

Tak też i zrobił. Nie zważając na klątwy i wymyślania Gerbera, wręczył mu dwie paczki banknotów, każda po pięć tysięcy, i zabierając się do odejścia, rzekł:

— Masz tu dwie trzecie części wszystkiego, co dostałem za kamienie. Myślałem, że uda mi się więcej wyciągnąć, ale szelma paser, któremu sprzedałem, uparł się i ani grosza nie chciał postąpić. Zrobiliście lepszy interes ode mnie, bo dałem ci już przecież sporo pieniędzy i nie odtrącam tego...

Gerber aż zbladł z wściekłości. Był święcie przekonany, że Harden oszukuje go, a on czuł się wobec tego bezsilny, bo jakże tu udowodnić, że musiał dostać grubo więcej? Rzucał się i odgrażał, zapowiadał zemstę, ale wszystko na nic się zdało.

— Pamiętaj, Mike — rzekł wreszcie, gdy Harden już wychodził, — że zapłacisz mi kiedyś z procentami. Nie myśl, że natrafiłeś na głupiego...

— Jednak widzę, że nie mam z mądrym do czynienia, bo robisz awantury zupełnie niesłusznie. Inny na mojem miejscu byłby powiedział, że dostał wszystkiego dwa lub trzy tysiące i albo nic by wam nie dał, albo najwyżej po kilka setek. Ja postępuję z tobą uczciwie...

— A niech cię jasny piorun trzaśnie z twoją uczciwością, stary złodzieju! — odpalił mu Gerber, czując wyraźnie drwiny w mowie Hardena.

— Taka to wdzięczność ludzka — mówił dalej Harden, uśmiechając się złośliwie. — No, ale trudno, nie powinien byłem wdawać się z tobą. Za to, że wyratowałem cię z nędzy, że dałem ci możność postawienia się na nogi, zamiast podziękowania, zyskałem sobie wroga w tobie...

— Przestań, Mike, bo mnie djabli biorą na twoje gadanie. Już drugi raz w życiu okradasz mnie w najpodlejszy sposób!

— Głupiś, Gerber. Zresztą nie mam czasu na słuchanie twoich bzdurstw. Mścij się czy nie mścij, mnie wszystko jedno. Tylko uważaj, żebyś sam źle nie wyszedł, gdy ze mną zaczniesz. Jak mi dokuczysz, mogę postarać się, żebyś się znalazł za kratami. A wiesz, że w stanie New York prawo przewiduje karę śmierci w krześle elektrycznem za morderstwo...

— Tak?... Spróbuj... Poszlibyśmy razem...

— Powtarzam, żeś głupi. Ani ty ani nikt na świecie nie potrafi udowodnić mi, że miałem udział w tej sprawie. Mam świadków, że owej nocy wcale z domu nie wychodziłem, a trudno

przypuszczać, żeby twoje gadanie wystarczyło wobec sądu jako dowód przeciwko mnie... Kpię sobie z ciebie i radzę ci pilnować własnej skóry...

Trzasnął drzwiami i wyszedł, zostawiając Gerbera osłupiałego ze złości.

— A to łotr! — mruknął Gerber. — Wziął przynajmniej z pięćdziesiąt tysięcy, a mnie rzuca ochłap, jak psu. Poczekaj, panie Harden, jeszcze my się kiedyś porachujemy!

Przyszedł mu na myśl ów wspólnik, który miał prawo do połowy otrzymanych pieniędzy.

Dopiero będzie się wściekał, gdy dam mu tysiąc — myślał, bo tyle tylko miał zamiar dać tamtemu. — Gotów mi nie wierzyć... Hm...

Schowawszy dziewięć tysięcy, wziął z sobą dziesięć papierków po sto dolarów i ruszył na poszukiwanie spólnika, który, mając w kieszeni jeszcze kilkadziesiąt dolarów, dnie całe spędzał po szynkach, pijany od rana do nocy.

Odnalazł go w podrzędnej spelunce portowej dzielnicy. Tu powtórzyła się scena, jaka miała miejsce między Hardenem i Gerberem, z tą tylko różnicą, że Gerber bał się fizycznej siły spólnika i starał się wszelkiemi sposobami łagodzić go, co mu się udało, bo pijak nigdy w życiu nie miał odrazu tysiąca dolarów i wyobrażał sobie, że taka suma na zawsze zapewni mu dostatek wódki i używania po szynkach.

W ten sposób spólnicy pozałatwiali między sobą rzecz podziału łupu i uważali całą sprawę za skończoną. Z gazet dowiedzieli się o tem, że aresztowano Stefana Lubicza na miejscu zbrodni i, że podejrzenie padło na niego. Radzi z tego, że niewinny człowiek cierpiał za ich zbrodnię, pewni byli bezkarności.

Gerber sprzedał odrapaną swą knajpę i dołożywszy kilka tysięcy, otworzył przyzwoitszy szynk w innej dzielnicy, gdzie mógł liczyć na powodzenie i dostateczne dochody.

Spólnik jego systematycznie przepijał po kilkanaście dolarów dziennie i nie wychodził z stanu wódczanego oszołomienia.

Harden nadal pozostał właścicielem „Rajskiego kącika", dalej marzył o miljonowym majątku i gromadził coraz więcej dolarów, których posiadanie stało się jedynym celem życia jego i Grety.

Rodzina zamordowanego Wintersa w odległem mieście daremnie oczekiwała wieści od ojca i męża, który, padłszy pod ciosami morderców, spał wiecznym snem na małym wiejskim cmentarzyku w pobliżu New Yorku.

Dni upływały za dniami, tygodnie za tygodniami. Termin rozprawy przeciw Stefanowi Lubiczowi zbliżał się szybko. Stefan, pozostając ciągle jeszcze pod zarzutem zbrodni morderstwa, z upragnieniem oczekiwał dnia sądu, w którym spodziewał się oczyścić nazwisko haniebnego oskarżenia. Straciwszy posadę w piśmie, w którem pracował jako reporter, próżno szukał innej. Wszędzie spotykał się z odpowiedzią, że nie prędzej znajdzie zajęcie, aż zrzuci z siebie piętno oskarżonego za zbrodnię.

Rychło wyczerpały się skromne zasoby Stefana. Po kilku tygodniach musiał jąć się ciężkiej pracy fizycznej w fabryce, aby dostarczyć matce i sobie środków na utrzymanie. Z Haneczką, którą uważał za narzeczoną, widywał się tylko raz w tygodniu, w niedzielę, kiedy jechał z matką do klasztoru i spędzał godzinę na rozmowie z ukochaną.



Anglja z ogromnem zainteresowaniem śledzi niezwykle sensacyjny proces, mający związek z głośną aferą wykradzenia tajemnic budżetu Wielkiej Brytanji przez syna, angielskiego ministra kolonji, Leslie Thomas'a. Na zdjęciu tłumy, wyczekujące przed gmachem sądu wyniku rozpraw.

Nie mając pieniędzy, nie mógł zająć się śledzeniem Hardena i Gerbera, co do których miał silne podejrzenie, że są właściwymi sprawcami napadu na Wintersa. Gdyby był rozporządzał odpowiedniemi środkami pieniężnemi, mógłby oddać sprawę śledzenia tych ludzi w ręce prywatnej agencji detektywów, ale to pociągnęłoby za sobą wydatek setek dolarów, których brak było nietylko jemu, ale i poczciwemu Soganowi.

Stary sierżant policji codziennie prawie przychodził do domu Lubiczów i spędzał po kilka godzin w towarzystwie Stefana, pocieszając chłopaka i dodając mu otuchy.

— Głowa do góry, chłopcze, — mówił do Stefana. — Niedługo przyjdzie czas, że zapomnisz o wszystkich twych kłopotach. Po rozprawie dostaniesz znów posadę, może lepszą niż poprzednia, i odseperujcie się. A jak tylko przyjedzie ojciec Haneczki — urządzimy weselisko jak się patrzy!

— Daj Boże, żeby to najprędzej się stało, — odpowiedział Stefan — bo ja długo w ten sposób żyć nie potrafię. A choćby ojciec Haneczki nawet jutro przyjechał, musiałbym czekać, aż rozprawa sądowa zdejmie ze mnie piętno zbrodniarza. Nie przypuszcza pan przecie, że byłbym zdolny dać dziewczynie, którą kocham nad wszystko w świecie, nazwisko splamione tak ohydnem podejrzeniem. A gdyby sąd przysięgłych nie uznał mnie niewinnym, wtedy... wtedy, panie Sogan...

— Głupiś, Stef, z twojem „wtedy". Gdyby sędzia widział możliwość, że zostaniesz skazany, nie byłby cię uwolnił, choćby za najwyższą kaucją.

— To też to mnie jedynie pociesza, panie Sogan. Ale jednak żyję w ciągłej niepewności i niepokoju.

— Nie masz się czego niepokoić. Kilka razy już mówiłem z adwokatem o twojej sprawie i on powiada, że musisz zostać uniewinniony. Zresztą niedługo zaczną się sądy przysięgłych i wszystko się skończy pomyślnie. Co zaś do Haneczki, to wiedz o tem, że ta dziewczyna wierzy, że jesteś niewinny, i czeka tylko chwili, kiedy ją poprowadzisz do ołtarza. Sama mi to mówiła, smyku jeden!

Przed sądem

Minęły trzy miesiące i kadencja sądów przysięgłych rozpoczęła się. Sprawę Stefana rozpisano na pierwsze dwa dni. Do sądu okręgowego ściągnęły z okolicy tłumy ludzi, a wszystkie pisma newyorskie wysłały swoich reporterów, którzy mieli telefonicznie zawiadamiać redakcje o przebiegu procesu Lubicza. Było wśród nich wielu kolegów Stefana, którzy go znali i nawet przyjaźnili się z nim, ale przed rozprawą nie przyznawali się do tej znajomości.

Od samego rana w pierwszym dniu rozprawy matka Stefana pojechała do klasztoru, gdzie przebywała Haneczka, i uzyskawszy od przełożonej pozwolenie, zabrała dziewczynę z sobą i Soganem do miasteczka, w którem toczył się proces. Stefan pojechał wcześniej, z adwokatem, który narówni z Soganem, matką i Haneczką święcie wierzył, że jego klient jest niewinny i zapewniał go, że przysięgli muszą go uniewinnić.

Niewielu było świadków, wezwanych na rozprawę. Oprócz kilku osób, które były obecne przy aresztowaniu Stefa-

na, sąd wezwał tylko Hardena, Haneczkę i Sogana.

W poczekalni świadków Harden pierwszy raz zobaczył Haneczkę od czasu jej ucieczki. Ujrzawszy ją, przystąpił i chciał coś do niej mówić, gdy Sogan, który siedział tuż obok, powstał i oznajmił mu w niewielu słowach, że nie pozwoli, by molestował dziewczynę, która znajduje się w tej chwili pod jego opieką.

— Panna Burska — rzekł — dosyć już miała pańskiej opieki i nie życzy sobie rozmawiać z panem. Proszę zostawić ją w spokoju.

— Jakiem prawem pan się miesza między mnie i moją wychowanicę? — zawołał Harden. — Ja pana pociągnę do odpowiedzialności za zbałamucenie dziewczyny, rozumie pan!

— Niech pan pociąga, ale tymczasem proszę odejść, bo zawołam szeryfa.

Harden zwrócił się do Haneczki:

— Hanka! — zawołał — to ty za tyle lat opieki tak mi się odwdzięczasz? Zastępowałem ci ojca, żona moja matką była dla ciebie i teraz pozwalasz, żeby ten policjant zabraniał mi mówić do ciebie? Powiedz, dziecko, czy to za jego namową opuściłaś mój dom? Prawda, że to on namówił cię, żebyś uciekła od opiekuna, co?

Haneczka nie odpowiadała, a Sogan, zaczerwieniony ze złości, powstał z krzesła i zbliżył się ku Hardenowi, — gdy woźny sądowy otworzył drzwi z sali i oznajmił, że sąd jest w komplecie i rozprawa ma się rozpocząć.

Gdy weszli do sali sądowej, Stefan siedział już na miejscu, przeznaczonem dla oskarżonych, obok niego zaś rozłożył obrońca swe papiery i oczekiwał na otwarcie rozprawy.

Po zwykłych formalnościach przystąpiono do wybrania przysięgłych i po upływie kilkunastu minut zaprzysiężono dwunastu obywateli, którzy mieli wydać swój sąd nad sprawą Stefana.

Przesłuchiwanie świadków trwało prawie cały dzień, gdyż prokurator stawiał im mnóstwo pytań i skwapliwie notował najmniejsze szczegóły, mogące zaszkodzić oskarżonemu. Adwokat Stefana przysłuchiwał się obojętnie pytaniom prokuratora, uśmiechał się czasem ironicznie i także notował. Najdłużej trwały zeznania samego oskarżonego i największy wzbudziły zainteresowania u publiczności zgromadzonej na sali.

Widać było, że ogólna sympatja zwraca się w stronę Stefana, a nawet na poważnej twarzy sędziego, który kierował rozprawą, znać było, że jest usposobiony przychylnie dla oskarżonego, gdy na krześle, przeznaczonem dla świadków, zasiadł Harden.

Zeznania poprzednich świadków stwierdziły tylko, że napotkano Stefana na miejscu zbrodni, w skrwawionem ubraniu, i że w kieszeniach jego znaleziono kilka drogich kamieni. Żaden ze świadków, nie wyłączając szeryfa, nie starał się przedstawiać sprawy w sposób, wzmacniający podejrzenie na Stefana. Opowiadali szczegółowo, ale bez wyraźnej niechęci ku oskarżonemu. Dopiero, gdy Harden zaczął zeznawać, jasnem się stało dla wszystkich, że zeznania jego mają na celu zupełne pogrążenie Stefana.



Z nastaniem wiosny rozpoczęła się intensywna praca w plantacjach chmielu. Na zdjęciu widzimy rolników angielskich, przechodzących się po polu na wysokich szczudłach i zakładających druty, po których piąć się będą w górę pędy chmielu.

Po zwykłych odpowiedziach na pytania sędziego i złożeniu przysięgi, Harden powiedział, że Winters znał, jako częstego gościa w „Rajskim kąciku" i, że krytycznego wieczora, a raczej nocy, Winters wyszedł z nim razem z karczmy, udając się piechotą w stronę przystanku tramwajowego.

— Pożegnałem go przed odejściem do budynku, a ponieważ na dworze było ciemno, poświeciłem mu moją kieszonkową latarką elektryczną. W chwili, gdy Winters znikł mi z oczu na drodze, ujrzałem w snopie światła, rzucanego przez latarkę, jakąś postać ludzką, która wychyliła się z za krzaków po przeciwległej stronie drogi i natychmiast się schowała. Wówczas...

— Proszę o pozwolenie zadania świadkowi jednego pytania — zawołał obrońca.

— Po skończonych zeznaniach odpowiedział spokojnie sędzia. — Pan obrońca wie, że nie wolno przerywać świadkom. — Panie Harden, proszę mówić dalej.

— Wówczas — ciągnął dalej właściciel „Rajskiego kącika" — zaciekawiło mnie, ktoby to mógł być i w jakim celu kryje się w krzakach. Przeszedłem przez drogę i stanąłem w miejscu, gdzie owa postać znikła. Chwilę stałem spokojnie, gdy usłyszałem szelest poruszanych liści i odgłos ostrożnie stawianych kroków. Szybko przeskoczyłem przez rów przydrożny i oświeciłem latarką miejsce, w którem usłyszałem szelest. W świetle ujrzałem wyraźnie człowieka w szarem ubraniu. Na małą chwilę zwrócił twarz ku mnie... Poznałem go odrazu, gdyż dawniej był raz czy dwa razy w mojej restauracji...

Tu Harden przerwał na chwilę.

— Więc — rzekł sędzia — poznał pan owego człowieka. Proszę mówić dalej.

Na sali panowała niczem nie zmącona cisza. Uwaga przysięgłych sądu i publiczności w zupełności była skierowana na zeznania Hardena.

Obrońca Stefana z pod oka przyglądał się Hardenowi, robiąc ciągle jakieś notatki na leżącym przed nim papierze. Prokurator uśmiechał się triumfująco.

— Był to młody reporter jednego z pism newjorskich — mówił dalej Harden, zwracając się mimowoli w stronę siedzącego Stefana. — Nazwiska jego nie mogłem sobie wtedy przypomnieć, dopiero zauważyłem je w gazetach następnego dnia. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że to był człowiek, którego teraz widzę na ławie oskarżonych — Stefan Lubicz...

Na dźwięk swego nazwiska Stefan drgnął i nagle powstał.

— To wierutne łgarstwo! — zawołał. — Ten człowiek bezczelnie kłamie, gdyż ja...

— Proszę o spokój! — rozległ się poważny głos sędziego. — Oskarżony niech siada i czeka, aż będzie pytany.

Wśród publiczności uczynił się głośny szmer. Na twarzach przysięgłych odbiło się zdziwienie i jakby rozczarowanie. Dobroduszność, z jaką poprzednio spoglądali na oskarżonego, ustąpiła miejsca wyrazowi oburzenia i niechęci.

— Niech się pan uspokoi — odezwał się obrońca do Stefana. — Czekajmy co też ten pan dalej powie.

Kilkoma wyrazami sędzia uciszył publiczność i wezwał Hardena do dalszych zeznań.

— Był to zatem oskarżony, Stefan Lubicz — rzekł równym, zimnym głosem. — I cóż dalej?

— Nie wiem, czy poznał mnie i czy wiedział, że zobaczyłem go, gdyż odrazu straciłem go z oczu. Słyszałem tylko, że skierował się w stronę, w którą poszedł przed chwilą Winters. To wszystko, co mogę zeznać w tej sprawie.

— Czy pan prokurator chce zapytać jeszcze o co tego świadka? — spytał sędzia, zwracając się w stronę oskarżyciela publicznego.

— Nie — odrzekł prokurator krótko — Zrzekam się wszelkich pytań.

— Czy obrona ma jakie pytania do postawienia temu świadkowi? — zwrócił się sędzia do adwokata.

— Tak — odpowiedział obrońca wstając i wychodząc zza stołu.

— Proszę pytać — rzekł sędzia.

— Proszę mi powiedzieć, panie Harden — przemówił adwokat, patrząc bystro na świadka — kiedy pan widział oskarżonego ostatni raz?

— Właśnie wtedy, gdy wyszedłem z Wintersem, po pożegnaniu się z nim.

— No tak, tak... ale przedtem, dawniej?

Harden namyślał się chwilę.

— Nie pamiętam dokładnie — rzekł. — Zdaje mi się dobroduszne. — A jakaż to była ta latarka, przy której świetle widział pan oskarżonego?

— Zwykła latarka elektryczna.

— Hm... zwykła. No, ale przecież istnieją rozmaite rodzaje zwykłych latarek. Jedne z nich są okrągłe, inne znów płaskie, są mniejsze i większe, słabsze i silniejsze, a wszystkie są zwykłe. Jakaż była pańska?

— Niewielka okrągła, jak się nosi w kieszeni.

— Aha... dobrze. A gdzie teraz jest ta latarka? Przypuszczam, że ma ją pan jeszcze w swojem posiadaniu?

— Owszem — odpowiedział Harden, zdziwiony cokolwiek temi pytaniami. — — Mam ją dotychczas.

— Czy może pan pokazać nam tę latarkę?

— Nie mam jej przy sobie. Jest u mnie w domu.

— Aha... Naturalnie, że musi być w domu. Zresztą mniejsza o nią. Mówi pan więc, że to mała, kieszonkowa latarka, tak?

— Tak.

— Dziękuję — rzekł adwokat, zwracając się do sędziego. — Innych pytań narazie nie mam zamiaru zadawać. Proszę tylko pana sędziego o polecenie świadków Hardenowi, żeby na jutro przyniósł latarkę, o której mówił w swych zeznaniach. Sądzę, że pan sędzia przychyli się do mojej prośby. Chodzi mi o to, żeby ta zwykła, mała latarka kieszonkowa znalazła się jutro w sądzie.

Sędzia spojrzał na prokuratora.

— Nie mam nic przeciw temu — rzekł prokurator, wzruszając ramionami.

— W takim razie, panie Harden, przyniesie pan na jutro ową latarkę — oznajmił sędzia i odłożył rozprawę do rana.

Na drugi dzień rozprawa rozpoczęła się długą i kwiecistą mową prokuratora. Młody ten i gorliwy prawnik wiedział, że na sali sądowej znajduje się kilkunastu reporterów najpoczytniejszych pism newyorskich i że mowa jego, jeżeli nie w całości, to przynajmniej częściowo będzie umieszczona w pismach metropolji. Starał się też mówić ogromnie logicznie i przekonywująco.

Po obszernym wstępie, w którym grzmiał wielkim głosem na zdemoralizowanie i brak zasad u dzisiejszej młodzieży, przeszedł wprost do oskarżenia. Posługując się często teatralnemi gestami, sprytnie i misternie kuł łańcuch oskarżenia, dodając jedno po drugiem pojedyńcze ogniwa dowodów, które zręcznie łączył w całość. Opisawszy barwnie scenę morderstwa w sposób, jak ją sobie przedstawiał, wołał do przysięgłych, że nietylko jako prokurator ale jako prywatny obywatel jest przekonany o winie oskarżonego i domaga się surowej kary.

— Widzicie panowie, — mówił wskazując na skrwawione ubranie Stefana, leżące na osobnym stoliku — to ślady krwi nieszczęsnej ofiary! Toć jasną jest rzeczą, że oskarżony tylko przy wykonywaniu tej potwornej zbrodni mógł poplamić się krwią. Widzicie tę garstkę drogich kamieni, którą znaleziono w kieszeniach oskarżonego. Powiada, że znalazł je rozsypane, ale czyż można wierzyć takiemu tłomaczeniu? Nie zaprzecza, że wiedział, iż Winters miał przy sobie drogie kamienie, ale nie potrafił jasno i zrozumiale podać powodów, dla których znalazł się o tej porze daleko od miasta. Przyznał, że wiedział, iż Winters będzie szedł tą drogą, ale nie chce powiedzieć, jakim sposobem posiadał tę wiadomość...

Wprawdzie panna Burska, powołana jako świadek przez obronę, zenała, iż oskarżony miał czekać na nią razem z Wintersem, ale dopiero na drugi dzień, kiedy to miała opuścić dom swych opiekunów. Pomijając powody, dla których panna Burke chciała potajemnie opuścić dom opiekunów i rzeczywiście opuściła, zeznania jej obciążają oskarżonego, gdyż świadczą, że oskarżony osobiście czy też za pośrednictwem Wintersa nakłaniał ją do ucieczki z domu. Fakt ten świadczy bardzo niekorzystnie o charakterze oskarżonego. Ale to inna sprawa, którą prawdopodobnie poruszy jeszcze pan Harden. My mamy przed sobą sprawę ważniejszą niż konszachty młodzika z dziewczyną poza plecami opiekunów. Sprawę o zamordowanie człowieka w celu rabunku. Zdaje mi się, panowie przysięgli, że przedstawiłem dostateczne dowody winy oskarżonego. A ostatniem ogniwem łańcucha dowodów są zeznania świadka Hardena, który widział oskarżonego, idącego w nocy za Wintersem w stronę, gdzie morderstwo zostało popełnione...

Zgrabnym i efektownym frazesem, zwróconym do przysięgłych, prokurator zakończył swą mowę i usiadł, pewny siebie i triumfu swego oratorstwa. Głucha cisza zapanowała na sali. Twarze publiczności i przysięgłych spoważniały, groza jakaś powiała na wszystkich. Matka Stefana cicho płakała, ukrywszy twarz w dłonie, Sogan zasępił się i zafrasował, a po twarzy Haneczki spływały gęste, grube łzy.

Stefan siedział jak skamieniały, blady jak ściana, tylko na czole, perliły mu się krople potu.

Wśród tej ciszy i przygnębienia ozwał się spokojny, zimny głos sędziego:

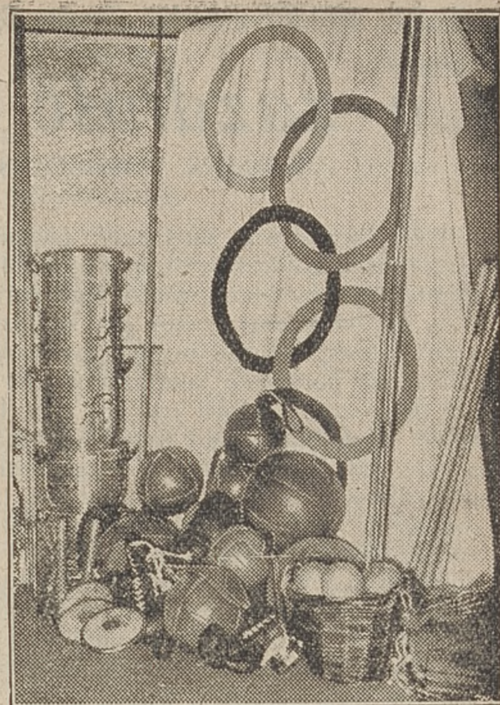
— Udzielam głosu panu obrońcy.

Adwokat ciągle uśmiechnięty, z twarzą najzupełniej obojętną, podniósł się niedbale z swego miejsca, przerzucił kilka przed nim leżących arkuszy, wyszedł na wolną przestrzeń między ławę przysięgłych, a stół sędziego i zaczął mówić spokojnym, umiarkowanym tonem:

— Zanim przystąpię do właściwej obrony, muszę zaznaczyć, że w czasie mojej kilkudziesięcioletniej praktyki adwokackiej w sądach kryminalnych ani razu nie miałem tak łatwego zadania, na dzisiejszej rozprawie...

Przysięgli z pewnem zaciekawieniem spojrzeli na adwokata.

— Tak, panowie przysięgli, — mówił dalej obrońca. — Powtarzam, że nie miałem nigdy łatwiejszego zdania, gdyż klient mój, którego widzicie panowie na ławie oskarżonych, nie potrzebuje właściwie obrony, ponieważ szanowny mój poprzednik, pan prokurator, nie przedstawił ani jednego, choćby najmniejszego dowodu jego winy. Bo przecież znakomitej mowy pana prokuratora nie możemy uważać za dowód, że ten młody człowiek, którego macie panowie sądzić, popełnił morderstwo.



Na „Polu Sportowem Rzeszy", gdzie jak wiadomo — odbywać się będą konkurencje olimpijskie, zbudowano magazyn z wszelkiemi przyborami sportowemi, które przeznaczone są do użytku uczestników olimpjady.

— Pokazano wam, panowie przysięgli, skrwawione ubranie i garść kamyków, przedstawiono świadków, którzy zastali Stefana Lubicza na miejscu zbrodni, przedstawiono szeryfa, który go aresztował i odstawił do więzienia, ale pozatem nic, absolutnie zupełnie nic.

Pan prokurator wymownie starał się udowodnić, do czego sam oskarżony przyznaje się, to jest do obecności przy zamordowanym. Przyznaje się także do tego, że pozbierał rozsypane koło osoby zamordowanego drogie kamienie i schował je do kieszeni. Ale pozatem jasno i zwięźle opowiada, jakim sposobem znalazł się przy zamordowanym i dlaczego był o tej porze na owej drodze. Mówi poprostu, że nie wiedząc, iż Winters będzie wracał z restauracji pana Hardena o tej mniejwięcej porze wyjechał samochodem z miasta, aby zabrać spowrotem wracającego. Jechał powoli tą drogą, przekonany, że napotka Wintersa, a gdy nie widział wracającego, przystanął i postanowił czekać. Nagle doszedł jego uszu jakiś podejrzany hałas czy szelest.

— Wysiadł z maszyny i szedł drogą w kierunku, skąd hałas go dochodził. Nie przypuszczał, że przed chwilą przejeżdżał tuż obok miejsca, gdzie Wintersa spotkała okrutna śmierć z rąk nieznanych bandytów. Szedł powoli i rozglądał się, przyświecając sobie kieszonkową latarką elektryczną. Nagle ujrzał kapelusz Wintersa i ślady jakiejś walki na drodze. Zaniepokojony o Wintersa, odważny, przytem i gotów do pospieszenia przyjacielowi na ratunek, wszedł w krzaki przydrożne, dokąd prowadziły świeże ślady, i ujrzał w świetle latarki zamordowanego człowieka.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

9)

Był przeraźliwie zmęczony, pragnął odpoczynku, samotności. Zachowywał spokój ostatkiem sił. Każde zdanie tej opowieści raniło jego serce jak sztylety. To też odetchnął z ulgą, gdy znalazł się sam w pokoju i mógł zebrać myśli, aby rozprawić się z tą straszliwą potwarzą, jaką rzucono na pamięć niewinnej dziewczyny, która już nie żyje i bronić się nie może. Stała mu dotąd przed oczyma jej wdzięczna postać, tak daleka samym wyglądem od podobnych pospolitości. Tomasz domyślał się trafnie że Wanda padła ofiarą jakiejś intrygi. Oto co może zazdrość kobieca. Zapewne to sama Fela, dziewczyna wychowana w domu, gdzie wszyscy bądź co bądź opierali swe postępowanie na etyce, aby zwalczyć rywalkę i poniżyć ją w oczach wszystkich, chwyciła się tak potwornej broni, jak anonim. Była to broń zatruta, niebezpieczna, wobec której Wanda była zupełnie bezsilną. W jaki sposób mogła się bronić? Była zdana na łaskę i niełaskę tych ludzi, którzy byli jej dobroczyńcami, a więc teraz czuli się w prawie do wymierzenia jej „kary."

Tomasz siedział przy biurku, w pewnym momencie ukrył twarz w dłoniach, przeniósł się myślą do owej podróży przez ocean, a zarazem tragicznej, która przyniosła mu szczęście poznania prawdziwej miłości, a jednocześnie zabrała mu tę, którą ukochał nad życie...

Widzi rozfalowany ocean, na którym kołysze się jak wątła łupina okręt, stanowiący igraszkę rozgniewanego żywiołu. Wysokie fale biją o burty okrętu. Na przednim pomoście widać postać Wandy: rozróżnia wyraźnie jej rysy, widzi lęk w jej oczach, słyszy niemal, jak usta jej wzywają pomocy. Okręt pogrąża się w falach.

Potem przesuwa mu się wizja inna — owego cudownego wieczoru, gdy po raz pierwszy w pocałunku zbliżyły się ich usta. A potem zabrzmiały te złowrogie słowa, osłonięte przedziwną tajemnicą „nie mogę, nie wolno mi kochać już nikogo"...

Teraz dopiero zaczyna rozumieć, co miał znaczyć ten okrzyk rozpaczy, jaki padł po chwilach najwyższego szczęścia.

* * *

W kapeluszu przekrzywionym na ucho, zadyszana, czerwona jak burak, pani Weynowa wpadła jak bomba do mieszkania państwa Mielczarkiewiczów. Widać było odrazu, że przynosi nowiny. Jest w swoim żywiole. Wszyscy czekają na ważne słowa, jakie mają paść z jej ust. Wzbudziła ogólne zaciekawienie. Wśród ogólnej ciszy pani Weynowa oznajmia z miną triumfalną:

— Przychodzę do was z dobrą nowiną...

Po tych słowach nastąpiła przerwa — pani Weynowa wodzi wokoło rozpromienionym wzrokiem, badając — jakie wrażenie zrobiły jej słowa. Z prawdziwem zadowoleniem stwierdza, że pani Mielczarkiewicz cała, jak się to mówi, zamieniła się w słuch, a panna Fela zaczerwieniła się tak, jak to tylko umieją się czerwienić zdrowe panny z dobrych, „przedwojennych" domów.

— Otóż, moje kochane — zaczyna głośno pani Weynowa ogłaszać swą dobrą nowinę — była u mnie Szelestowska. No i co wy na to? Ale wiecie po co przyszła? — Otóż przysłał ją syn. Siedziała u mnie bardzo długo, miałam jej powiedzieć wszystko, co wiem o Brazylijczyku — a wiecie dlaczego?...

Znowu przerwa. Oczywiście obydwie panie Mielczarkiewicz nie wiedzą — co zresztą pani Weynowa zgóry przewidywała, a uczyniła pauzę tylko jako dobra znawczyni sztuki oratorskiej.

— Otóż Tomasz jest zakochany w Feluni i jest o nią zazdrosny, dlatego chciał się wszystkiego o niej dowiedzieć, zanim — zgadnijcie...

Lecz pani Weynowa już nie mogła zdobyć się na dłuższą pauzę i dodała prawie natychmiast:

— ...zanim nie oświadczy się o naszą najukochańszą Felunię!

Po tych słowach przystąpiła do pani Mielczarkiewiczowej i wycisnęła na jej policzkach dwa głośne pocałunki, potem złożyła gratulacje Feli, dodając przytem:

— A więc będziesz panią Szelestowską... A jako prezent ślubny masz otrzymać wspaniały samochód.

Panna Fela na te pełne entuzjazmu słowa pani Weynowej uśmiechnęła się, lecz nie był to uśmiech radości. Oczy jej pozostały spokojne: widać było, że był to tylko uśmiech przeznaczony dla matki i ciotki. Wydawało się, że Fela uważa małżeństwo z Tomaszem za smutną konieczność, która bynajmniej jej nie uszczęśliwia.

Jednakże ani pani Mielczarkiewicz ani pani Weynowa nie zauważyły tego przymusu, z jakim Fela przyjęła wiadomość o zbliżających się oświadczynach Tomasza. Poczęły snuć plany przyszłości i nie zważając na obecność Feli, dokładnie omawiały sprawy majątkowe, związane z tem małżeństwem.

ODNALEZIONA?

Nazajutrz Tomasz wstał zmęczony, wyczerpany bezsennością i walką ze sobą. Doszedł do przekonania, że powinien właściwie ożenić się z Felą. Tylko w ten sposób będzie mógł uchronić pamięć Wandy przed złorzeczeniem rodziny Mielczarkiewiczów, gdyż swoją osobą wynagrodzi Feli utratę owego brazylijskiego konkurenta.

Postanowienie to zresztą wcale nie napełniło go zadowoleniem. Wiedział, że zrobi tem przyjemność matce, lecz czuł, że w małżeństwie tem nie znajdzie szczęścia...

Co miał jednakże robić? Wiedział, że Wanda nie żyje — została po niej tylko pamięć i dla tej właśnie pamięci gotów był na największą ofiarę.

— — — — — — — — — — —

Tomasz, zdobywszy się na tę decyzję, postanowił nie zwlekać, jakby obawiając się, że po dłuższym namyśle sam się cofnie. Przyrzekł sobie, że jeszcze tego samego dnia odwiedzi państwo Mielczarkiewiczów i poprosi ich o rękę córki.

Spóźnił się do biura, gdyż szedł piechotą rozmyślając po drodze. W biurze nie zastał już ojca, który wyjechał w sprawach interesów przedsiębiorstwa. Natomiast w gabinecie swoim został na biurku cały stos listów do podpisania i masą zaległej korespondencji. Tego jednak dnia Tomasz nie był usposobiony do pracy. Zmęczony, niechętnym ruchem odsunął na bok pocztę, a kiedy po dłuższej chwili, spędzonej na dalszych rozmyślaniach doszedł do wniosku, że najlepiejby było zapomnieć o tych wszystkich sprawach i zabrać się do pracy. Otworzył teczkę z listami i począł je podpisywać, przeglądając ich treść dość pobieżnie. Jednakże przy najbardziej nawet przelotnem przeglądaniu listów zauważył, że połowa z nich była napisana niedbale i niedokładnie, litery były poprzestawiane, widać było, że osoba pisząca, aczkolwiek inteligentna, nie uczyła się wcale pisać na maszynie. Absolutnie nie można było listów owych wysłać.

Rozgniewał się. Nacisnął dzwonek, a gdy we drzwiach stanęła sekretarka, zapytał gniewnie:

— Kto pisze te listy?

— A to nasza nowa maszynistka.

— Niech tu przyjdzie! — wydał polecenie.

Sekretarka wysunęła się z pokoju dyrektora, podeszła do stolika, przy którym siedziała nowa maszynistka i tonem pełnym współczucia zakomunikowała jej, że szef wzywa ją do siebie. A kiedy dziewczyna wstała i skierowała się ku drzwiom, prowadzących do gabinetu dyrektora, sekretarka do-

dała jeszcze, aby przygotować nową urzędniczkę na burzę ze strony szefa:

— Pan dyrektor jest bardzo niezadowolony z pani, zdaje się, że praca pani u nas już jest skończona...

Dziewczyna zbladła, lecz po chwili opanowała się i krokiem pewnym weszła do gabinetu Tomasza.

Podeszła do biurka. Tomasz nie podnosząc głowy, począł mówić:

— To niesłychane! Gdzie pani dotychczas pracowała? W tych listach wprost niema ani jednego słowa, któreby było napisane bez błędu...

Podniósł wzrok, aby sprawdzić, jakie wrażenie wywołała jego nagana.

I nagle... serce Tomasza zabiło gwałtownie, a jednocześnie z ust jego padł okrzyk, który zlał się z drugim okrzykiem:

— Wanda! — zawołał.

— Tomasz! odpowiedziała.

Spoglądali na siebie, nie wierząc własnym oczom. Zdawało się im obojgu, że to sen — nie mogli uwierzyć w tak niesłychane szczęście.

Pierwsza Wanda ocknęła się i zapytała urzędowym tonem:

— Pan mnie wzywał do siebie, panie dyrektorze?

Dźwięk tego głosu oprzytomnił Tomasza. A więc ona żyje, to nie sen, to rzeczywistość!...

Szybkim ruchem wstał z krzesła, okrążył biurko, przypadł do Wandy, chwycił jej ręce, wpatrywał się w jej jasne oczy i począł szeptać w najwyższej ekstazie:

— Żyjesz... żyjesz, Wando!...

— — — — — — — —

Dalsza ich rozmowa była zupełnie bezładna, dopóki oboje nie oprzytomnieli z radosnego wzruszenia.

Wanda poczęła opowiadać. — W ostatniej niemal chwili, gdy fale, zalewające pokład przewróciły ją i leżała nieprzytomna i wyczerpana, bez sił — uratowano ją i wzięto na pokład okrętu „Mauretanja."

— Lecz w jaki sposób wróciłaś do Polski? Kiedy się to stało? — dopytywał się gorączkowo Tomasz.

Pytanie to jakgdyby zmieszało Wandę. Oczy jej przysłoniły się mgłą smutku, a odpowiedź, którą dała na pytanie Tomasza, sprawiała jej widoczną przykrość.

— Nie mogłam zostać tam dłużej i przed miesiącem wróciłam do Polski.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. — Tomasz podniósł słuchawkę i rzekł:

— Tutaj Tomasz Szelestowski.

— Mówi Jerzy Krotoski — zabrzmiał głos w telefonie.

— Ach, to pan... — rzucił dość niechętnie Tomasz, nie spuszczając oczu ze stojącej obok niego Wandy.

Widać było, że Krotoski jest zdenerwowany, głos jego w telefonie był drżący.

— Pamięta pan swoje wątpliwości co do autentyczności listów panny Wandy?

— Tak! — rzucił prawie tryumfalnie Tomasz.

— Otóż telefonował do mnie grafolog, który stwierdził z całą pewnością, że te listy były podrobione. Ma mi sporządzić odpowiedni wywód, udowadniający jego twierdzenia.

— A widzi pan! — rzucił zwycięskim głosem Tomasz, serdecznie uradowany, iż wiara jego w Wandę została jeszcze raz tak silnie potwierdzona.

— — — — — — — —

Rozmowa była skończona. Tomasz podszedł znowu do Wandy i przyciskając jej ręce do ust rzekł:

— Wando, dlaczego nie zaprzeczyłaś Jerzemu? Dlaczego niejako przyznałaś się do winy, milczeniem utwierdzając go w przekonaniu, żeś to ty pisała te listy?

Wanda zaczerwieniła się, w oczach jej zagasły błyski radosne i wyszeptała, z trudem wydobywając ze siebie słowa:

— Nie wierzył mi, nie ufał, więc nie starałam go się przekonać.

Widać było, że te wyznania te sprawiały jej przykrość. Mimo to mówiła dalej:

— Czułam, że on nie kocha mnie prawdziwie. Nie chciałam walczyć o uczucie mężczyzny, w które przestałam wierzyć, nie ceniłam go już i odeszłam...

— — — — — — — —

Tomasz był w tej chwili najszczęśliwszym człowiekiem w świecie. Oto los, któremu jeszcze niedawno tak bardzo złorzeczył, zwracał mu ukochaną. Lecz ponadto, zwracał mu jego wiarę w Wandę — wiarę, którą źli ludzie usiłowali w nim zniszczyć...

Wiadomość, jaką zakomunikował mu Krotoski, wyjaśniła właściwie wszystko. Odsłaniała głębie podłości „panny z dobrego domu" — Feli Mielczarkiewicz, która dla zwycięstwa nad rywalką — nie wahała się przed rzuceniem straszliwych oskarżeń, mających pohańbić Wandę, tak bezbronną w tej podstępnej walce.

Lecz ostatecznie prawda zwyciężyła.

Tomasz postanowił, że zdemaskuje obłudę Mielczarkiewiczów, aby niewinność Wandy wystąpiła w całej pełni.

Wszystkie te refleksje mieszały się z uczuciem radości i jakiegoś błogiego nastroju, który powoli wsączał się do jego duszy. Już raz przechodził w życiu podobny stan, wtedy, kiedy po długich tygodniach choroby powracały do zdrowia...

Oto minęły te koszmarne dni, które naznaczone były żałobą. Nadszedł dzień wesela. Wanda stoi przy nim, wystarczy, aby wyciągnął ręce, a obejmie jej postać... Tomasz przymyka oczy — przez chwilę wraca do owych chwil na okręcie, gdy po raz pierwszy wyznali sobie miłość...

Otwiera oczy — przed nim stoi ta sama Wanda... Lecz teraz już nie usłyszy z jej ust tych okrutnych słów, że nie wolno jej nikogo kochać...

Jest tak nieszczęśliwy, że wprost drażnią go słowa, które wypowiada w tej chwili. Wydaje mu się, że są wprost profanacją tego wielkiego, najbardziej radosnego wydarzenia w jego życiu.

Zdaje się, że Wanda odczuwa to samo.

To też oboje milczą, a milczenie ich wymowniejsze jest, niż wszelkie słowa.

Spotykają się tylko ich spojrzenia. Patrzą sobie nawzajem szczerze w oczy, nie mają sobie nic do wyrzucenia, wszystko jest wyjaśnione.

Nie potrzeba było na to zresztą wiele słów. Odnoszą się do siebie nawzajem z taką ufnością — iż wszelkie wyjaśnienia są zbyteczne.

Wierzą sobie...

Tomasz zbliża się do Wandy. Lecz w tym momencie rozlega się pukanie do drzwi. Wchodzi sekretarka, zadaje jakieś pytanie w sprawie biurowej.

Jednocześnie patrzy ciekawym wzrokiem na Wandę, jakby dziwiąc się, że konferencja szefa z nową maszynistką trwa tak długo.

Tomasz zrozumiał to spojrzenie, to też po wyjściu sekretarki, zwraca się do Wandy:

— Wandziu, tutaj nie będziemy mogli swobodnie rozmawiać. Czekaj na mnie w cukierni na rogu Kruczej. Przyjdę tam zaraz.

Wanda skinęła głową.

Gdy wyszła z gabinetu szefa, przywitały ją cztery pary spojrzeń, w których zaciekawienie mieszało się ze współczuciem.

Co się działo za zamkniętemi drzwiami gabinetu? — pytały się między sobą biuralistki? Jak przeszła ta pierwsza burza nowej współpracowniczki?

Wanda uśmiechnęła się do swych towarzyszek, a podchodząc do sekretarki, oznajmiła jej:

— Przypuszczenia pani sprawdziły się — już nie będę tu pracowała.

Wyszła z biura, żegnana spojrzeniami, już tylko współczującemi.

* * *

Gdy znaleźli się we dwoje w małej cukierence, prawie pustej o tej porze, poczęli opowiadać sobie o swych przejściach po katastrofie okrętowej. Lecz szybko — z przeszłości, jak się to zazwyczaj u zakochanych zdarza, rozmowa ich przeszła na temat przyszłości.

Przyszłość przedstawiała się im teraz, jak niebo bez chmur. Wszystko już teraz musiało się dobrze ułożyć. Pokonali to, co stało na drodze do ich szczęścia.

— Weźmiemy ślub za tydzień — zadecydował wreszcie Tomasz.

Wanda rozkochanym wzrokiem popatrzała na Tomasza — i odrzekła tylko:

— Dobrze.

Tomasz wreszcie poruszył sprawę, która go najbardziej dręczyła.

— Wando, powiedz mi teraz — dlaczego na statku wtedy, powiedziałaś, że nie wolno ci już kochać?

Popatrzyła mu prosto w oczy, szczerze, z ufnością poczęła mu opowiadać o swych brazylijskich przejściach. Jadąc do Brazylji, uważała się już właściwie za należącą do Henryka, wszak jego rodzice przysłali pieniądze na drogę. Listy, w których ją zapraszali, miały ton tak ciepły, tak serdeczny, wyczuwała, iż cieszą się myślą, że jedzie do nich z Polski ich przyszła synowa...

— W jaki sposób mogłam — mówi Wanda — sprawić im tak wielki zawód? Dopiero kiedy usłyszałam od ciebie, że mnie kochasz, uprzytomniłam sobie ,jak wielką ponoszę dla nich ofiarę. Było to wprost nad moje siły, ale obowiązek nakazywał mi poświęcenie się. Właściwie wtedy tylko śmierć mogła mnie wybawić... i doprawdy owa burza sprawiła mi radość. Podróż moja do Brazylji została przerwana, nie obchodziło już mnie zupełnie, co się ze mną stanie.

— A jednak wróciłaś — rzekł cicho Tomasz, kładąc swą dłoń na jej ręce.

PRZYKRA TAJEMNICA

Zapanowało milczenie, ciężkie, męczące, które wydobyło znowu na powierzchnię świadomości obydwojga dawne zwątpienia i cierpienia.

W sercu Tomasza obudziło się nawet pewne podejrzenie. Przemógł się jednak i rzekł do Wandy:

— Jeśli nie chcesz, albo sprawia ci to przykrość, to nie mów...

Wanda potrząsnęła przecząco głową.

Widać było, że zdobywa się na ciężką decyzję, że to zwierzenie, jakie teraz uczyni, przyjdzie jej z wielkim trudem.

— Powiem ci wszystko. Jak już wiesz, uratował mnie statek „Maurytanja". Dopiero na jego pokładzie odzyskałam przytomność. Przewieziono mnie do portu Bahia. Rodzice Henryka wiedzieli już o katastrofie. Przybyli do portu i odszukali mnie w szpitalu.

Wanda przerwała na chwilę, a wzrok jej powędrował poprzez szyby cukierenki, gdzieś w przestrzeń daleką...

— Cierpiałam wtedy strasznie — przypuszczałam, że zginąłeś w katastrofie. Było mi więc bardzo ciężko zdecydować się na tę ofiarę dla Henryka i poślubić go, jednakże muszę przyznać, że mi dobrze było w domu jego rodziców. Byli to bardzo zacni ludzie — pragnęli gorąco, ażeby Henryk się ze mną ożenił. Rzecz dziwna, zależało im na tem, aby ślub się odbył jak najprędzej. Z początku nie rozumiałam ich, dopiero w przeddzień naszego ślubu dowiedziałam się — co było przyczyną tego pośpiechu...

Wanda znowu przerwała swoje opowiadanie. Doszła do momentu, w którym miała odsłonić straszliwą tajemnicę swego niedoszłego męża.

— To było okropne — miałam stać się żoną nałogowego kokainisty... Rodzice jego mieli nadzieję, że mój wpływ odbije się na nim korzystnie, myśleli, że miłość jego ku mnie uleczy go — ja miałam go wyrwać ze szponów tego najokropniejszego nałogu, nabytego w czasie walk na froncie.

Tu największą trudność psychiczną sprawiło jej opowiedzenie tej okropnej sceny, która odsłoniła jej potworną tajemnicę Henryka.

Było to w przeddzień ślubu. W nocy przechodziła korytarzem i nagle posłyszała z pokoju Henryka przeraźliwe jęki.

Nie zastanawiając się, co czyni, otworzyła drzwi do pokoju Henryka. To, co ujrzała, było wprost wstrząsające. Zadrżała ze zgrozy. Oto odsłoniła się przed nią nagle przeszłość i — przyszłość. To, co się działo w pokoju Henryka, miało być jej codziennym udziałem w przyszłem małżeństwie...

„Jej narzeczony wyglądał wprost strasznie: oczy miał nabiegłe krwią, twarz dziko wykrzywioną, włosy rozwiane, ubranie poszarpane. Na ustach wystąpiła mu piana. W ręku trzymał bambusową trzcinę i walił nią z całych sił służącego murzyna, który wyrywał mu się, jednakże Henryk nie puszczał go z rąk...

Wanda wbiegła do pokoju, dopadła do Henryka i chwyciła go za rękę.

— Co robisz?! — zawołała w najwyższem przerażeniu.

Obejrzał się.

Przeraziła się tego wzroku. Po raz pierwszy widziała zbliska, przed sobą — obłęd...

— Henryku, co się z tobą dzieje?! — zawołała z rozpaczą w głosie, potrząsając ręką narzeczonego, którego palce wpiły się w ciało murzyna.

— Nie chciał mi przynieść kokainy...

Dopiero po dłuższej chwili Henryk powrócił do przytomności i puścił murzyna, który wybiegł z pokoju, jęcząc z bólu.

Narzeczony padł przed nią na kolana, skruszony, począł całować jej ręce i błagał:

— Wando, nie odchodź odemnie... ratuj mnie... Poddam się kuracji i wyleczę się...

— Dobrze, zostanę — odrzekła Wanda, decydując się na jeszcze jedną ofiarę dla człowieka, którego już nawet pokochać nie mogła mieć nadziei...

Uczyniła to właściwie dla jego rodziców, którym pragnęła uratować syna. Zresztą nie miała do kogo wracać do Polski. Wszak jedyny człowiek, przez którego życie miało dla niej wartość, u którego mogłaby znaleźć opiekę — zginął w czasie katastrofy okrętowej, zabrawszy wszystkie jej nadzieje...

Z początku wszystko szło jak najlepiej. Henryk poddał się kuracji i pod opieką lekarza powoli, jak się zdawało, powracał do zdrowia.

Ataki nie powtarzały się. Wobec Wandy był czuły i rozkochany. Wandzie wydawało się, że wreszcie dobiła do spokojnego portu i choć nie czuła się szczęśliwa, miała przynajmniej to zadowolenie, iż ratowała dobrego w gruncie rzeczy człowieka...

— — — — — — — — —

Jednakże na horyzoncie tego pogodnego nieba pojawiły się niebawem pierwsze chmury.

Pewnego dnia Wanda udała się z Henrykiem do miejscowego, prawdziwie brazylijskiego kabaretu.

Była to kawiarnia, na środku której wznosiła się estrada. Popisywały się na niej artystki w strojach więcej niż nieskromnych. Mężczyźni wodzili wzrokiem pełnym pożądania za kobietami, które produkowały się na estradzie.

Panowała atmosfera podniecona. Alkohol uderzał do głowy. Krzyżowały się wyzywające spojrzenia kobiet i zuchwałe spojrzenia mężczyzn.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

SERDECZNIE DZIĘKUJĘ!

Wszystkim Kochanym Sympatykom, którzy nadesłali mi w dniu Imienin życzenia i piękne kwiaty, przesyłam jak najserdeczniejsze podziękowanie. Dzień mych imienin był prawdziwem świętem zadokumentowania braterskich uczuć i był wydarzeniem radosnem i zupełnie niespodziewanem. Zasługa? — po stronie moich Drogich Sympatyków, zaś cała przyjemność po mojej... *Zofja.*

ZAPYTANIE

„Hallo! „Samotny Tulipanie"! — tutaj „Nimfa z Puszczykowa". Pseudonim Pana wydaje mi się znajomy, gdyż będąc na obozie instruktorskim, poznałam pewnego Pana, który używał podobnego pseudonimu. Zapytuję więc, czy nie nazywa się Pan M. Sz. Jeżeli nazwisko zgadza się, proszę o liścik. Łączę silny uścisk dłoni.

„Nimfa z Puszczykowa".

HALLO!

„Demon". Z miłą chęcią czynię zadość prośbie i niżej podaję wierszowany apel Pana. (Dwa pozostałe wierszyki — nie przemówiły mi do uczuć — słabe.)

HALLO! HALLO!

Jestem „Demon", Bóg przestworza
moja wola wszystko może,
jak co chcę, musi być,
bo nie płakać chcę, a żyć!

mnie pociąga świata dal,
Obcy jest mi smutek, żal,
mnie pociąga wir i ruch,
jednem słowem — jestem zuch!

Ale czasem przyjdzie czas,
że mknę szumu słuchać w las,
a gdy bór milczący gra,
I ja, „Demon", wtedy łkam.

I tak wtedy jest mi źle...
aż nie przyjdzie ciemna noc
i demońska wróci moc
i z łez znowu śmieje się...

Z dala ślę prześliczne „pa"
Wszystkim Anonimom wraz...
Komu serce z bólu łka —
niech napisze... czekam Was!

KTÓRA Z PAŃ WYJEŻDŻA W ROKU BIEŻĄCYM NAD MORZE?

„Nowicjusz". „Czytając „Moje Powieści", a zwłaszcza „Krainę szczerości" zapragnąłem i ja nawiązać korespondencję z Czytelnikami.

Akurat mija 26 wiosna w mem życiu i rocznica mej pracy bankowej. Myśląc o tem, konstatuję, że życie me dotychczas było zbyt jednostajne i zapragnąłem zmiany. W tym też celu zwracam się do wszystkich miłych Pań, aby zechciały do mnie napisać kilka słów. Jestem szatynem o przystępnej wysokości, pełnym wdzięku. Część zbliżającego się urlopu wypoczynkowego pragnę przeznaczyć na podróże, resztę spędzę nad morzem. Podczas wywczasów na plaży pragnąłbym uzupełnić swe braki tańca, może więc któraś z Czytelniczek, wybierających się w roku bieżącym nad morze, skomunikuje się ze mną, oczywiście pani dobrze tańcząca i miłośniczka tańca?..."

„CHCIAŁBYM SIĘ NIERAZ KOMUŚ ZWIERZYĆ"...

„Zawisza Czarny", ale nie ów historyczny, waleczny rycerz, lecz zwykły śmiertelnik z zaletami i wadami, pisze mi tak:

„Chociaż nadeszła wiosna, ta upragniona przez wszystkich pora, w której jest tyle radości i piękna, to jednak smutno mi. Nieraz późnym wieczorem, zasłuchany w miły śpiew słowika, czuję, jak serce mi drży tęsknotą za kimś bliskim, za przyjacielem. Chciałbym się komuś nieraz zwierzyć i wyspowiadać z najskrytszych myśli, lecz nie mam komu. Czekam więc, pełen nadziei, na serdeczny liścik z dalekiego świata."

POZDROWIENIA Z NAD BRZEGÓW NOTECI

„Krater II." List Pana przekazałam. Bardzo chętnie przyjmuję Pana do „Krainy" i niemniej chętnie przedrukowuję część listu Pana:

„Mieszkam w uroczem miasteczku, otoczonem wodami Noteci. Pracuję w zarządzie gminnym. Jestem szatynem wysokiego wzrostu, podobno niebrzydkim. Kobiety mówią, że mam piękne oczy, ładny kapelusz, nowiutkie lakierki i świeżo odprasowane spodnie. Od dawna studjuję z natężeniem „Moje Powieści" i czekuję ich z utęsknieniem każdego piątku.

Przesyłam dzisiaj wszystkim Czytelnikom „Moich Powieści" miłe pozdrowienia i wiadomość, że pragnę w przyszłości nawiązać bliższy kontakt z niektórymi członkami ogromnej „Rodzinki".

W POSZUKIWANIU BRATNIEJ DUSZY

„Kwiat Lotosu." Cieszę się bardzo, że „Kwiat Lotosu" do mnie napisał i pragnie należeć do naszej ogromnej „Rodzinki". Pozdrawiam serdecznie kochany „Kwiat Lotosu" i zamieszczam część Jego liściku, aby go sobie wszyscy mogli przeczytać:

„Jestem blondynką o niebieskich oczach. Mieszkam w mieście. Ogromnie chciałabym poznać jakąś bratnią duszę, z którą mogłabym pogawędzić swobodnie na różne tematy. Może mi prześle ktoś serdeczny liścik? Pozdrawiam jak najmilej „Szarego Człowieka", „Ramzesa", „Natana", „Zdobywcę Serc", „Optymistę Sir", „Rom - Mara", „Samotnego Jurka" i „Czarnego Olka". Czy któryś z wyżej wymienionych Panów prześle mi kilka słów?"

RADOSNYCH LUDZI TAK MAŁO

„Lawrence". Pierwsza część listu Pana zainteresowała mnie szczególnie. O wycieczce, wspomnianej przez Pana, wiedziałam, jednakże nie byłam jej uczestniczką. Księdza K. nie znam zupełnie — gdy przybyłam do Żnina, już go nie zastałam.

„Pragnę widzieć wokół siebie same jasne roześmiane twarze" — słowa powyższe ogromnie przypadły mi do gustu, gdyż sama pragnęłabym, aby jak najmniej było smutków, łez i trosk, a wzamian więcej pogody i więcej uśmiechów. Nic mnie tak nie cieszy i nie wzrusza, jak radosna twarz ludzka i radosna dusza. Niestety, tych pogodnych twarzy i dusz tak mało stosunkowo i coraz ich mniej... przyczyna tego?... o ta tkwi bardzo głęboko. Usunięcie jej stanowi ciężki do rozwiązania problem.

„Komunikaty" Pana zamieszczam:

„P. „Carmenicie" dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je...

P. „Elżuni" ślę pozdrowienia i wyrazy radości, że kocha...

P. „Edwardowi VIII" zasyłam wyrazy uznania za poruszenie na łamach „Krainy" tak ważnego problemu jakim jest rycerskość"...

ŻAŁUJĘ...

„Li z nad Olzy". Żałuję bardzo, że rozporządzam tak małą ilością miejsca w „Krainie", gdyż chętnie zamieściłabym w całości liścik Pani, taki miły i poetyczny. Pozostaje mi więc tylko przesłać Pani serdeczne pozdrowienia, wiadomość, że w najbliższej przyszłości uczynię zadość życzeniom Pana oraz zamieścić załączone komunikaty:

„Uwaga! „Te - Em", proszę przesłać odpowiedź na adres: Cieszyn, Poste - Restante, „Li z nad Olzy".

Milutki uśmiech i pozdrowienia przesyłam „Bezinteresownemu", „Borowiakowi Puszczy Tucholskiej", „Czarnemu Olkowi", „Dzieniusiowi z Torunia", „Szaremu Człowiekowi", „Maronowi", „Samotnemu Julkowi", „Willy'emu" i „Czarnemu Zawiszy". Może który z tych Panów odpowie na mój uśmiech liścikiem? Osobne pozdrowienia przesyłam „Natanowi."

MAJ I WIOSENKA

Zazieleniły się pola i łąki,
Rozśpiewały się o świcie skowronki,
Rozkwitły drzewa i prześliczne kwiaty,
Ziemia przybrała się w weselne szaty.
Zakwitły róże i blado - lila bzy,
A w sercach ludzkich rozbudziły się sny...
Sny o szczęściu, miłości, o kochaniu,
O czyichś ust gorącem całowaniu.

— — — — — — — —

Tak mi żal, że miną te jasne noce,
I serce znów tonąć będzie w pomroce...

„Złota Rybka".

ZAINTERESOWANIE

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy". Gratuluję Pani jak najserdeczniej pomyślnego zdania egzaminów. Osóbka Pani zainteresowała mnie bardzo, do tego stopnia, że proszę Panią o nadesłanie swej „maseczki".

Czy Panią kocham?... Jeszcze nie, ale bardzo lubię i podziwiam. Czekam na nowy liścik... Pozdrawiam i Panią i p. Idi.

POZDROWIENIA I PROŚBA

„Samotny Agronom" przesyła milutkie popozdrowienia, wraz z prośbą o liścik, „Dziewczynce z Kujaw."

ZAMIEŚCIMY BARDZO CHĘTNIE

„Narcyz". Pierwszy apel „Narcyza" przeminął bez echa, wobec tego Sympatyk ten apeluje dzisiaj powtórnie o listy, z nadzieją, że tym razem nie bezskutecznie. Bardzo miłe pozdrowienia przesyła: „Konwalji" — „Zilli" — „Manoli" — „Jasnowłosej Cyrze" — „Dalecie" — „Elżuni" i „Zajętemu Serduszku."

Na zakończenie pozostawiłam sprawę współpracy Pana z działem rozrywkowym. Otóż może Pan nadsyłać wszelkiego rodzaju łamigłówki, ale wykonane na papierze rysunkowym, czarnym tuszem. Jeżeli zadania okażą się dobremi — zamieścimy je bardzo chętnie. Łączę wiele pozdrowień i ślicznie dziękuję za nadesłany narcyz.

APEL Z FRANCJI

„Inżynier z Francji". Niezwykle przyjemnie było naszemu zespołowi redakcyjnemu, odczytać kilka miłych słów Pana. „Muszę przyznać — pisze Pan — że poziom „Moich Powieści" w niczem nie odbiega od pism francuskich o tym samym charakterze. Wiadomość ta cieszy nas bardzo i jest dla nas rzeczywiście uznaniem Dziękujemy Panu „in corpore" za zainteresowanie i przesyłamy serdeczne pozdrowienia z Ojczyzny. Apel niżej zamieszczam:

„Ponieważ jestem daleko od swoich i codziennie obracam się w żywiole obcego mi pochodzenia, przeto pragnąłbym korespondować z Czytelniczkami „Moich Powieści". Jestem szatynem, średniego wzrostu, o oczach piwnych. Lat mam 26. W wrześniu minie trzeci rok od chwili ukończenia jednego z uniwersytetów w Polsce. Myślę, że oczekiwania nie zawiodą mnie i któraś z Czytelniczek położy kres mojej tęsknocie. Listy proszę kierować na ręce p. Zofji pod „Myślę poważnie."

NIE ZNUDZIŁAM SIĘ

„Maleńki Czupigrała." Ponieważ się nie znudziłam słowami Pana, jak to sobie Pan wyobrażał, oddaję list śmiało do druku, aby wszyscy Sympatycy mogli się dowiedzieć coś niecoś o Panu:

„Jestem młodym Pomorzaninem", właścicielem modrych oczu i blond włosów. Lubię urządzać wycieczki rowerem po okolicy, a piesz do pobliskiego lasu. Mieszkam na wsi, tonącej w zieleni i kwiatach. Zimą uprawiam łyżwiarstwo, w lecie, na świeżem powietrzu — biegi, skoki, gimnastykę, pływanie, oraz gram w siatkówkę i koszykówkę. Lubię słuchać muzyki, śpiewu i marzyć. Nieraz, gdy marzę, ogarnia mnie jakaś dziwna tęsknota i dusza wyrywa mi się w dal. Podczas lata zamierzam urządzić z moim kolegą wycieczkę naokoło Pomorza. Czy projekty i plany udadzą się — okaże przyszłość. Pozdrawiam serdecznie wszystkie Sympatyczki i Sympatyków „Krainy".

JEDNO IMIĘ

Jest jedno imię pośród imion świata;
Jedno jedyne, promieniste imię.
Pachnie niem stara, przygarbiona chata,
i szepcą ściany w sercem tchnącym rymie.
Brzmią w niem pieśćwie lat młodzieńczych
Beztroskie, jasne, radością tętniące [chwilę,
I tyle wspomnień, snów prześnionych tyle,
Łzy i uśmiechy i burze i słońce...
Imię najsłodsze i najbardziej święte,
Świecące jasno pośród życia mroku,
Miłośnie, słodko, sercem uśmiechnięte,
Budzące zachwyt i łzę rzewną w oku.
Zda się tak małe w zewnętrznej swej treści —
Lecz jak potężne w uczucia głębinie!
Ile tam skarbów nadludzkich się mieści,
Ile zeń wzruszeń przenajtkliwszych płynie!...
Piękniejsześ barwą ponad wonne kwiaty!
O imię cudne... drogie... najłaskawsze;
Pieśnią anielską dźwięczące nad światem,
Wyryte w sercach na wieki, na zawsze...
Gdy kto chce zamknąć w jednem tylko słowie
Ogrom czuć jasnych do granic ostatka —
Niech przyklęknąwszy, to imię wypowie:
Jedyne, jedno, przenajsłodsze... Matka!

„Błękitny Rycerz“.

NAPISZ!

„Szara Dziewczynka.“ Pisałam już kiedyś, że nic mnie tak nie wzrusza, jak dobroć. Tak, „Szara Dziewczynko“, dobroć przemawia mi najgłębiej i porusza zawsze o najczulsze struny mej duszy. To też ile razy otrzymam taki liścik, jakim był Twój, „Dziewczynko“, liścik wyszeptany gorącem, szlachetnem serduszkiem, czuję pod powiekami łzy. Chciałabym wtedy uścisnąć serdecznie te drobne ręce, co postawiły w liście kochane literki i chciałabym przytulić się do dziewczęcego serduszka, które potrafi tak pięknie czuć i kochać.

Droga, „Szara Dziewczynko“! Nie znam Cię wcale i być może, że nigdy Cię nie zobaczę, ale wydaje mi się, jakobym Cię znała... Jesteś drobną i małą, pełną prostoty dziewczynką i posiadasz wielkie, złote serduszko... Czy tak? Napisz!

„Post-scriptum“ z listu „Szarej Dziewczynki“:

„Dziewczęciu z Kujaw“ dziękuję za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Proszę Cię, napisz do mnie choć kilka słów, albo rzuć mi parę zdań w „Krainie“.

„Erosie“! Dziękuję za życzenia świąteczne. Napisz — dam Ci zaraz odpowiedź.

„Hrabio Monte Christo“! Dlaczego mi nie dajesz o sobie znaku życia?“

POZDROWIENIA

„Terenia z Szlacheckiego Dworku“ przesyła pozdrowienia „Skowronkowi z nad polskiej niwy“, „M. Rysi“, „Miłej Zapałeczce“, „Rybakowi z Helu“, „Zdobywcy Serc“ i „Jótkowi“.

NIE WYSTARCZA

„Heniek“. „Czułem się trochę speszony...“ to mało p. „Henku“, taką sprawę trzeba zawsze uzasadnić. Nie wystarcza mi powiedzieć: „czułem się speszony“, trzeba mi powiedzieć wszystko. Czekam p. „Henku“!

Apel podaję z miłą chęcią:

„Jestem blondynem dość wysokim (175 cm), studentem U. P. Zwracam się do Was, Drogie Czytelniczki z apelem, aby któraś z Was do mnie napisała.

Łączę pozdrowienia dla: „Smutnej Oleńki“, „Zapomnianej Syleny“, oraz życzenia szybkiego powrotu do zdrowia dla „Leniuszka.“

Możeby do mnie napisała „Odessanka“ — „Zajęte Serduszko“ lub „Takie małe Coś z loczkami“?“

ZAMIEŚCIMY

P. M. G. Wiersz „Zakwitną kwiaty...“ zamieścimy wkrótce. Serdecznie pozdrawiam.

BYŁAM WZRUSZONA

„Mała Konwalijka“. Prześliczne kwiaty — odebrałam. Byłam ogromnie wzruszona i uradowana tym miłym dowodem pamięci. Dzięki stokrotne! Na list dam wkrótce odpowiedź.

DZIĘKUJĘ!

„Iste Wenus“. Wierszyk odłożyłam do teczki — miły i ładny. Ostatni liścik, ozdobiony własnoręcznym rysunkiem, również sprawił na mnie miłe wrażenie. Dziękuję Pani za niego i chętnie zamieszczam załączone przez Panią pozdrowienia:

„Kochana „Duśko“ — „Leśna Rusałko“ — „Wenus“ i „Li z nad Olzy“ przyjmijcie ode mnie dużo szczerych pozdrowień. „Li z nad Olzy“ zapytuję także, czy pamięta jeszcze „Iste Wenus“, bo jeżeli chodzi o mnie — to tak. „Ryśce M.“ dziękuję za miłe pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Reszcie „Rodzinki“ przesyłam jak najsłoneczniejszy uśmiech.“

BARDZO CHĘTNIE!

„Kanareczek.“ Wstęp listu Pana ujął mnie bardzo. Dziękuję za życzliwość i uznanie! Bardzo chętnie zamieszczam „post-scriptum“ z listu Pana:

„Dziękuję serdecznie „Fali Eteru“ za miły liścik z prośbą o dalsze „czułe słówka“. Oprócz tego zasyłam pozdrowienia „Samotnej Oleńce“ — „Eli z Komp. Telegraficznej“ — „Małej Konwalijce“ — „Zrozpaczonej Maryli“ — „Karinie“ — „Nieszczęśliwej“ i „Lilce“, zapytując tą ostatnią, czy pochodzi z Wejherowa i czy pierwsza litera Jej nazwiska to G?“

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM — DORĘCZYŁAM

„Człowiek z Ludu“. Na pierwszy swój list otrzymał Pan już odpowiedź w jednym z poprzednich numerów „Moich Powieści“. Przekonał się więc Pan, że listu do kosza nie odesłałam, prawda? List zamknięty doręczyłam zgodnie z życzeniem, p. D. W. Odpowiedź otrzyma Pan w najbliższych dniach.

A teraz spełniam prośbę Pana i zamieszczam zakończenie Pańskiego listu:

„Przesyłam pozdrowienia wszystkim Sympatykom „Moich Powieści“, a w pierwszym rzędzie: „Takiemu małemu Coś z loczkami“ — „Stelisowi“ — „Tu-Ryszardowi“ i „Szaremu Człowiekowi.“

MOŻE SŁOWA TRAFIĄ DO CZYJEJŚ DUSZY...

„Stęskniona Hanka“. „Chciałabym bardzo nawiązać korespondencję, abym i ja była czemś zaabsorbowana i nie czuła wokół siebie tej pustki, która nie daje żadnego zadowolenia...“

Słowa te skreśliła w swoim liściku „Stęskniona Haneczka“. Bardzo pragnę, aby w życiu tej Panienki, było jak najmniej pustki, która życie czyni beznadziejnem i przykrem, więc słowa te posyłam dalej — w szeroki świat. Może trafią one do czyjejś duszy i znajdą w niej zrozumienie...

Oprócz słów, które podałam na wstępie, „Stęskniona Haneczka“ przesyła jeszcze kilka innych słów, przeznaczonych dla jednego z Sympatyków „Krainy“:

„Wesoły Toruniaku“! Przesyłam Ci serdeczny uśmiech, gdyż przypominasz mi miejsce dawnych wesołych, beztroskich i swawolnych lat dzieciństwa.“

NA WIZYTĘ CIESZĘ SIĘ OGROMNIE

„Pilotka K. M.“ Pseudonim Pani skróciłam umyślnie, gdyż w pierwszem wydaniu brzmiał cokolwiek dziwnie. Czy po tem wyjaśnieniu będzie miała Pani jeszcze do mnie żal? — chyba nie!

Na wizytę ogromnie się cieszę. Może jednak przedtem Pani mnie uwiadomi, abym była w redakcji. A teraz kilka słów Pani:

„Hallo! „Stello Maris“! Brak mi jakoś odwagi — napisz do mnie pierwsza.

„Leśny Faunie“, może prześlesz z głębin lasu kilka wiadomości znajomej z nad Morskiego Oka?

„Wierszokleto“ i p. M. M. z Lipin może i Wy do mnie napiszecie?

Serdecznie pozdrawiam „Parysa II.“

„Marynarz z Gdyni“ — „Eros“ i „Anglik G. E.“ mają listy na poste-restante.

Hallo! Sympatycy „Krainy“! Zasilcie szeregi moich korespondentów! Wypowiemy wojnę nudom, a opanujemy beztroskę i wesołość.“

Wesołych i Szczęśliwych ZIELONYCH ŚWIĄT swoim Drogim Czytelnikom życzy REDAKCJA „MOICH POWIEŚCI“

PAMIĘTAJ!

„Leniuszek“. Kochana Dziewczynko! W liściku Twym jest tyle serca, że nie wiem, w jaki sposób Ci się za nie odwdzięczyć. Proste „dziękuję“ — to mało! Za serce, płaci się sercem, więc pamiętaj o mnie zawsze, Dobra Dziewczynko. Może Ci kiedyś będzie źle, będziesz potrzebowała czyjejś pomocy, czyjejś rady i podpory, więc wówczas śmiało zwróć się do mnie. Będę szczęśliwa, że będę mogła spłacić „serdeczny dług...“ Żegnaj i pisz do mnie, ile razy będzie ku temu ochota!

Teczka Wujka Janusza

LIST NASUNĄŁ MI TROCHĘ WSPOMNIEŃ

„Maleńka Dzidzi“. Cieszę się ogromnie, bo widzę, że Maleńka Marta z każdem listem jest radośniejsza i coraz to więcej pogodna. Czy wiesz, Marto, że Twój ostatni liścik nasunął mi dużo wspomnień i przysporzył kilka jasnych chwilek? „Niedobry“, „nieznośny“, tak mnie nazywała moja Matka i jeszcze ktoś bardzo kochany i to właśnie wtedy, gdy chciały się odezwać do mnie jak najserdeczniej. Tak samo przedstawia się sprawa z „Maleńką Dzidzi“, prawda? To też zamiast „gniewać się“, ściskam po przyjacielsku kochane łapięta i przesyłam Dobrej Dziewczynce wyrazy najszczerszej sympatji.

ŻAL ZA SZCZĘŚCIEM...

Z cyklu „Dyskusje“
p. Marji Zemmlerównie — poświęcam.

Zawiodłaś, siostro,
W dziecinne lata
I przypomniałaś... świat porzucony
Dzisiaj, gdy młodość szarpie się ostro
W walce życiowej —
To jednak myślą chętnie biegniemy
W dzieciństwa strony.
Wspomnienie wraca o wieczornej porze,
Gdy jasność dnia — mroki oplatają,
A na zachodzie trochę jaśniejsze zorze
Do wspomnień... nam przyświecają.
Fakty minione stają, jak żywe,
Z dna duszy gdzieś wyłowione,
Radości, smutki i swawolne harce
Na falach marzeń — wspomnień
Przed naszemi oczami
Zostają jak żywe postawione.
Dawne marzenia... o szczęściu i chwale...
Gdy się je w dzieciństwie miało —
Jak nieraz, gorzko człek się zaduma
Dlaczego nam ich życie nie dało.
Mniejsza o chwałę — bo to jest próżność,
Można się obejść bez tego —
Ale szczęście... szczęście...
O którem się tak wiele marzyło
I na ironję młodego życia
Świat i życie nam go nie dało.
I dziś nie jeden z ironją pyta
Szczęście... gdzie jesteś?
Dlaczego cię niema, dlaczego?...
Gdzieżeś się na rozłogach życia podziało?

Józef Bofar.

!!! Bierzcie udział w CIEKAWYM KONKURSIE „MOICH POWIEŚCI“ z nagrodami !!!

Pamiętajcie, że termin nadsyłania prac konkursowych upływa już za tydzień.

(Warunki konkursu zostały podane w numerze 20 „Moich Powieści“).

Raj kobiet

Haftowane bluzeczki



B 38 552. Miła bluzeczka z lnianego płótna, haftowana różnobarwnemi nićmi i zapinana na małe, kuleczkowe guziki.

V 38 551. Młodociana bluzeczka z batystu, oryginalnie sznurowana z przodu i ozdobiona pięknemi, kwiatowemi motywami.

V 38 504. Śliczny komplecik do jasnej, lekkiej sukienki. Żakiecik i pasek z lekkiej, białej wełny. Brzegi obszyte czerwoną taśmą. Haft barwny.

B 28 351 Oryginalny żakiecik w stylu bawarskim, upiększony niezwykłym haftem.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji po uprzedniem nadesłaniem 1,40 zł za krój, oraz 1,20 zł za wzór haftu.

Jak tańczą i żyją „girlaski"?

Znamy je wszyscy z rewji, ekranu, kabaretu. Smukłe, o silnych i gibkich nogach, — odziane barwnym strzępem jedwabiu, czasem w szerokiej krynolinie, lub w ciężkich haftach hiszpańskiego szala, o silnie podczernionych oczach, o rzęsach ciężkich od tuszu, o karminowych, koniecznie w kształt serduszka wymalowanych ustach, o jaskrawie czerwonych policzkach i uśmiechu lalki przyklejonym do purpurowych ust — przesuwają się po scenie w szalonym tempie murzyńskiej melodji. Czasem kołyszą się w rytmie upojnego walca, czasem słaniają się w zmysłowych figurach tanga. Wszystko zależy od programu.

Białe, bezimienne niewolnice reflektorów i rytmu, małe „Girlsy" — zwane pospolicie girlaskami — zawsze jednakowo ubrane, umalowane i uczesane, zawsze występujące gromadnie, zawsze jednakowo poruszające się i tańczące — powojenne kapłanki tańca, opartego na potężnym prądzie mechanizacji wszystkich objawów życia. Kolorowy motylek, zmieniający niejednokrotnie wciągu jednego wieczora swój kształt i barwę.

Uśmiechnięte na scenie girlaski w życiu uśmiechają się mniej często. Bo też, gdy spojrzeć na ich życie od strony kulis, widzi się jak pracują ciężko na skromny kawałek chleba.

Godzina dziesiąta rano. Kilka zakurzonych żarówek napróżno usiłuje rozproszyć mrok kulis. O ścianę niedbale oparte dekoracje. Cicho i nudno. Ze sceny widać długie rzędy krzeseł. Nagle potok światła zalewa scenę i równocześnie rozlega się głos baletmistrza:

— Panienki na scenę! Zaczynamy próbę!

— Raz, dwa! Raz, dwa! W rytm melodyj tańczy sprawnie rząd girlasek w trykotowych kostjumach, próbując nowych tańców do rewji.

— Źle, od początku! Jeszcze raz! Uwaga — jeszcze raz! Z życiem, z werwą!

I tak codziennie. Trzy, cztery godziny trwa próba. Jedynie po premjerze tygodniowa przerwa.

A wieczorem, codziennie, czy to dzień powszedni, niedziela czy święto tańczą uśmiechnięte przez dwa spektakle od siódmej do pierwszej w nocy. Trzeba nietylko tańczyć, ale i przebierać się kilkakrotnie wciągu weiczora i kilkakrotnie robić „maquillage".

Ciężka i krótkotrwała jest karjera rewjowego motyla. Za cały niemal dzień pracy otrzymuje od 5 do 10 zł dziennej gaży. Za tę skromną pensję musi girlaska ubrać się, wyżywić, a czasem i dopomóc rodzinie. A po kilku latach coś zaczyna się psuć w sercach i płucach girlasek. Serce coraz częściej bije rytmicznie, coraz częściej trzeba łapać powietrze otwartemi ustami.

Wiek girlasek — 16, 20, 22 lata. Mają niewielkie przygotowanie sceniczne, duże aspiracje, i jeszcze większą pracowitość i zapał. Marzenie — aby zostać solistką, albo i artystką rewjową. To się dość często zdarza i bezimienny punkcik zamienia się w gwiazdkę, czasami nawet w gwiazdę.

Kierownicy i reżyserzy naogół mało mają kłopotu z girlaskami. Materjał może życiowo dość świeży, lecz karny i ambitny. Zresztą trzymany w rygorze. Niema intryg, niema zawiści, bo zabardzo są na to zmęczone i spracowane. Gdy taniec wypadnie doskonale cieszą się jak małe dzieci. Pochwała działa jak narkotyk.

Pogasły reflektory i neonowe reklamy. Na widowni cisza. Ciężkie powietrze, mieszanina woni tłumu i perfum. Głuchy trzask zamykanych drzwi. Girlaski w pośpiechu ubierają się. Znikł róż i karmin z bladych, przeważnie anemicznych twarzyczek. Do domu! Spać.

Zielone Świątki w tradycji ludowej

Czasy obecne nie usposabiają do zachowywania tradycyj. Wartki potok współczesnego życia przenika z wielkich miast nawet do odległych zakątków kraju, niszcząc odwieczne zwyczaje ludowe, owiane urokiem tajemniczych podań i baśni, sięgających jeszcze czasów pogańskich.

Fantazja ludowa najsilniej reagowała na przejawy natury i dlatego to radosny okres zwycięstwa wiosny nad zimą najmocniej odbił się w różnych obrzędach, zwyczajach i wierzeniach szerokich mas ludności.

Tu i ówdzie resztki tych zwyczajów dotrwały i do naszych czasów, a o dawnych mówią nam zapiski w starych kronikach i pamiętnikach.

W okresie tym, który rozpoczynał się od Wielkiejnocy, a kończył dopiero w czerwcu na św. Jana Chrzciciela, najważniejszą rolę odgrywały Zielone Świątki.

Zabawy ludowe przybierały w tych dniach tak swobodne rozmiary, że kościół, który starał się łagodzić pogańskie obyczaje, już w początkach 15 wieku występuje przeciwko swawolnym zabawom i opilstwu na Zielone Święta, o czem czytamy np. w poznańskich Statutach Synodalnych.

Znakomity historyk nasz z tych czasów, Długosz, opisując pogański zwyczaj urządzania igrzysk z ofiarami czyli „obiatami" na grobach, wspomina że „obrządki takowe i niektóre ich zabytki, lubo od 500 lat Polacy wiarę chrześcijańską przyjęli, aż do dzisiejszych czasów powtarzają się corocznie w dni Zielonych Świątek, przypominają bałwochwalcze pogaństwo. Radzi też obchodzą one Świątki godowaniem i swobodnemi wczasy".

Dziś z różnych dawnych „majówek" pozostały tradycyjne zabawy ludowe na krakowskich i warszawskich Bielanach, oraz zabawa z „majem" w Poznańskiem.

Tu i ówdzie po wsiach ustawiają tam jeszcze śliski pień sosny, odarty z kory, na którego wierzcholku umocowane są chusty wiejskich dziewcząt. Podczas obu dni świąt chłopcy wdrapują się na ów „maj", by zerwać i zdobyć chusty.

W niektórych okolicach naszego kraju, np. w krakowskiem, zwyczaj palenia ogniska czyli sobótki

połączony jest również z obchodem Zielonych Świąt. Według wierzeń ludowych skakanie przez ogień chronić ma od „bólu nóg i bólu w krzyżach" a przepędzanie przez ogień bydła zapobiega zarazom.

Zwyczaj ten był dawniej tak rozpowszechniony w całym kraju, zwłaszcza w wigilję św. Jana Chrzciciela, że księża, nie mogąc wykorzenić jego pogańskich początków, starali się nadać mu charakter chrześcijański przez nawiązanie do tradycyj płomieni ognistych, które ukazały się w dzień Zesłania Ducha Świętego nad głowami zebranych apostołów, zanim ci udali się w świat dla głoszenia nauki Chrystusa.

Ale i ten obyczaj, w niewielu okolicach dziś jeszcze zachowywany, nie cieszył się dobrą sławą już za czasów Augusta III, a to w związku z licznemi pożarami i nieszczęśliwemi wypadkami, które za sobą pociągał.

W pamiętniku Kitowicza, pochodzących z tego okresu, czytamy taki opis sobótek:

„Po miastach i wsiach rozpalali spory ogień na ulicach, który się zwał sobótką, a przez który młodzież obojej płci, najwięcej atoli męskiej skakała.

„Ten zwyczaj, gorszy daleko od dyngusu, w średnich latach Augusta III był już konającym, przy końcu zaś lat jego wcale ustał, dozorem surowym marszałka wielkiego koronnego w Warszawie najprzód, a za przykładem warszawskim, skąd się i złe i dobre zwyczaje po całym kraju rozlewały, wszędzie wytępiony, jako złe skutki sprawujący, już to w pożarach budynków z sobótki zapalonych, już w osobach skaczących, które nieraz ile przy gęstym dymie, skacząc naprzeciw siebie i upadając w ogień, raziły sobie płomieniem oczy, twarze, ręce i nogi. Osobliwie, kiedy chłopcy, których kaduk (licho) miesza do każdej swawolnej kompanji, klucze prochem ponabijane nieznacznie w ogień rzucali. A ten i ów nim się podniósł, dobrze sobie przypiekł pieczeni".

Z Zielonemi Świętami, których widomym symbolem są pęki tataraku i gałęzie brzeziny zdobiące odrzwia i wnętrza naszych domostw i to już nawet bez różnicy, tak w miastach jak i po wsiach, łączą się jeszcze różne wróżby, związane z urodzajem, żniwami, obroną przed urokiem czarownic itp.

Na Polesiu np. gałęzie, któremi mai się domy w Zielone Świątki dziewczęta wynoszą na pole i tam spalają. Na Podlasiu czynią to samo, ale brzezinę wynieść trzeba na rozstajne drogi i spalić pod krzyżem.

W innych okolicach od ognia podczas sobótki zapala się uwiązaną u kija słomę i obchodzi z nią pola, tak aby iskry padały na rolę.

Wszystkie te zwyczaje i obrzędy zanikają już coraz bardziej pod naporem szarej rzeczywistości. Coraz też częściej, chcąc je sobie przypomnieć, sięgać musimy do źródeł nauki i sztuki, gdzie utrwalone zostały przez historyka, poetę czy malarza, by tym sposobem ich tajemniczy urok zachować dla przyszłych pokoleń.

CZY WIECIE, ŻE...

...Dyrektor laboratorjum fizyczno-chemicznego w Tokio wynalazł karabin maszynowy, który ma oddawać od 10 do 60 tys. wystrzałów na minutę. Karabin ten nie potrzebuje prochu i nie sprawia huku; siła potrzebna na wysyłanie kul pochodzi z wprowadzonego w ruch koła. Doświadczenia z nową tą bronią dały wyniki zadawalające.

—o—

...W południowej Ameryce rośnie pewna roślina „hora crepitana". Właściwością jej jest to, że może eksplodować z wielką siłą. Staje się to wtedy, kiedy owoc tej rośliny wysycha i rozpada się na części. Siła wybuchu może być porównana do wystrzału rewolwerowego.

—o—

...Rodzaj środków wybuchowych w obronie własnej spotyka się u polipów niektórych gatunków. Posiadają one pewne komórki, w których zebrana jest trucizna, komórki te są otoczone błonką i gdy tylko jakiś ostry przedmiot dotknie jej błonki, pęka ona natychmiast, a ukryte żądło wylatuje z impetem i godzi we wroga. Żądło to ma kształt kulisty.

—o—

...Papirus, z którego wyrabiano materjał piśmienny, niegdyś bardzo pospolity w Egipcie, obecnie nie rośnie tam wcale.

—o—

Na francuskim rynku książek pojawiły się książki z barwnego nielamliwego, elastycznego szkła. Nazwisko autora i tytuł są wgłębione; poszczególne strony są sporządzone ze szkła matowego, tak że druk zupełnie nie przebija na drugą stronę.

—o—

W Wiedniu pewien profesor prowadzi oryginalną szkołę. Metoda jego nauczania polega na tem, że nie narzuca swym uczniom wiadomości wedle zgóry ułożonego planu, lecz tylko te, o które dzieci się upominają. Nie zadaje pytań dzieciom, jak się to w szkole praktykuje, ale tylko na pytania odpowiada.

—o—

Japonja ma dużo jedwabiu, a nie znajdując jego zbytu — postanowiła wyrabiać banknoty z tego materjału. Prócz tego wyrabiają już z jedwabiu chorągwie, siatki na moskity, namioty, a nawet sieci rybackie.

—o—

W Danji, liczącej 3 i pół miljona ludności wychodzi dzienników 290, 27 tygodników ilustrowanych i 1.500 czasopism specjalnych o ogromnym nakładzie. Takiej poczytności nie ma chyba prasa w żadnym innym kraju.

—o—

...W Macedonji greckiej zachował się do dnia dzisiejszego w niektórych miejscowościach zwyczaj noszenia przez kobiety jednocześnie aż 27 spódnic. Każda ma swoje tradycją uświęcone przeznaczenie i znaczenie. Pranie tych spódnic odbywa się tylko raz na dziesięć lat.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

Ze świata

Córka portjera — chrześniaczką Napoleona

Zapewne mało znany jest fakt, który ocalił życie Napoleonowi, fakt, który dziś przytaczamy.

Dnia 15 stycznia 1719 r. porucznik Bonaparte używał ślizgawki w towarzystwie dwu innych oficerów na zamarzniętej fosie w fortecy Auxonne. Zadzwoniono właśnie na obiad. Bonaparte zdjął łyżwy i zamierzał odejść, gdy jeden z towarzyszy rzekł doń:

— Chodź jeszcze parę kroków!

Bonaparte zawahał się, chciał nawet nanowo przypiąć łyżwy, lecz w tem zawołał:

— Nie, stanowczo dosyć!

W kilka minut potem, kiedy właśnie zasiadano do stołu, Bonaparte dowiedział się, że dwaj jego towarzysze zginęli. Lód załamał się pod ich ciężarem i młodzieńcy znaleźli śmierć w nurtach fosy.

— Jeden krąg więcej — opowiadał potem Napoleon to zdarzenie — i nie byłoby cesarza!

Niemniej ciekawy jest szczegół z życia Napoleona, kiedy to cesarz Francuzów przebywał w Warszawie w hotelu Angielskim.

Przed trzydziestu dwu laty w jednej z podwarszawskich wiosek zmarła niejaka Anna Rucińska, staruszka 92 letnia, matka pracownika kolejowego. Po przejrzeniu papierów nieboszczki okazało się, że skromna kobieta była chrzestną córką Napoleona. Ojciec Anny, Józef Trachtman był w r. 1812 portjerem w hotelu Angielskim w Warszawie. W czasie przebywania Napoleona w Warszawie prosił cesarza, by zechciał trzymać nowonarodzoną do chrztu. Napoleon podpisał wszelkie odnośne dokumenty i podarował swej chrześniaczce bogate upominki. Dziecię otrzymało imię Anny.

Minęło 20 lat. Na tronie francuskim zasiadł Napoleon III. Anna Trachtman wyszła zamąż za rolnika Rucińskiego, ale młodemu małżeństwu wiodło się nieszczególnie. Anna przypomniała sobie o swym dostojnym ojcu chrzestnym i napisała do Napoleona III prośbę, załączając kopję świadectwa chrztu i III przyznał jej dożywotnią pensję w sumie 600 franków rocznie. Chrześniaczka Napoleona I pobierała ją w ciągu lat 5, a kiedy upadło cesarstwo i przyrządy trzeciej Rzeczypospolitej, Skarb Francji zaprzestał wydawania owych 600 fr. córce portjera hotelu Angielskiego w Warszawie.

Romantyczna rzeka

Największa rzeka amerykańska nosi słusznie swoją romantyczną nazwę Amazonki, nadaną jej w roku 1540 przez Franciszka de Orellana. Stoczył on w owym roku nad brzegiem rzeki, wtenczas zwanej Maranon, walkę z wojskami tubylczemi, składającemi się przeważnie z pięknych i dzielnych kobiet. Na ich to cześć Maranon została „przechrzczona" na „Amazonkę".

Miasto studentów i... kotów

Upsala słynie jako najstarsze miasto uniwersyteckie w Szwecji i jedno z najstarszych w Europie. Uniwersytet upsalski należy do najlepszych w kraju, a miasto dumne jest zeń i chlubi się nim jako instytucją o międzynarodowej sławie. Studenci w Upsali stanowią odrębną społeczność i nadają ton miastu. Ale nietylko studenci tworzą uprzywilejowaną warstwę ludności Upsali. W ostatnich latach Upsalczycy uprzywilejowali... koty. Liczba tych miłych czworonogów rozrosła się w mieście do tego stopnia, że na jednego mieszkańca wypada, jak oblicza magistrat — 2 i pół kota. Koty stały się plagą Upsali, jak swego czasu psy w Konstantynopolu. Aby osłabić zapał Upsalczyków do hodowli kotów, postanowił magistrat obłożyć właścicieli tych zwierząt specjalnym „kocim" podatkiem.

Michał Zoszczenko.

Złodzieje

Obecnie jakoś, obywatele, złodzieje się rozmnożyli co niemiara. Kradną wokoło bez różnicy.

Nie znajdziesz człowieka, któregoby nie okradli.

Mnie także niedawno skradli walizkę zanim dojechaliśmy do Zmierinki.

A co, na przykład, z specjalnem tem złem robić? Może ręce odcinać?

Mówią, że we Finlandji w dawnych czasach złodziejom ręce odcinali. Zacznie tam, powiedzmy, jakiś fiński towarzysz kraść, odrazu cyk — i chodź sobie, psi synu bez ręki. Zato i ludziom można tam wierzyć. Tam, mówią, mieszkań ani zamykać nie trzeba. A jeżeli, na przykład, na ulicy obywatel portmonetkę zgubi, to ani portmonetki nie wezmą. Położą ją na jakieś widoczne miejsce i niech sobie leży do końca świata... Są to ale głupcy.

Nu, pieniądze z portmonetki może wezmą. To już nie może być, by nie wzięli. Tu nie tylko ręce uciąć, głowę trza odrąbać — ani to może nie pomoże. Nu, tak jest — pieniądze to główna. Portmonetka została a to merci.

Tak więc, zanim dojechaliśmy do Zmierinki, walizkę mi zabrali, zupełnie, kompletnie. Z wszystkiemi drobnostkami. Ani ucha walizki nie zostawili. Szmatka była w walizce — za kilka kopiejek ją kupisz — ani tej nie zostawili. Na co, u licha, tę szmatkę potrzebują? Zarzucą ją, podli. Tak i z szmatką skradli.

A główna, przysiądzie sobie wieczorem w pociągu jakiś obywatel.

— Wy, — ówi — bądźcie tak łaskawi i jedźcie tu ostrożniej. Tu — mówi — złodzieje są nadzwyczaj bezczelni. Rzucają się wprost na pasażerów.

— A to — mówię — proszę mnie tylko nie straszyć. Ja — mówię — zawsze uchem na walizkę się położę. Usłyszę.

On mówi:

— Nie chodzi o ucho. Tutaj, — mówi — są tak zręczni — i buty ludziom zdejmą. To nie jest ucho.

— Buty — mówię — znowu mam ciasne. Nie zdejmą.

— Nu, — mówi — do djabła z wami. Chodzi o to, aby was przestrzec. Róbcie sobie co chcecie.

Z tem także zasnąłem.

Nagle, jeszcze nie dojechaliśmy do Zmierinki, ktoś w ciemności ciągnie mnie za nogę. Dziw, — prawdę mówię, że mi jej nie urwał... Wyskoczę i chcę złodzieja uderzyć w plecy. On ucieka bokiem. Ja za nim z górnej ławki. Ale pędzić nie mogę.

Ponieważ but nawpół ściągnięty — noga w cholewie utkwiła.

Począłem krzyczeć i cały wagon spłoszyłem.

— Co się stało? — zapytują.

— O mało — mówię — a buty byliby mi ściągnęli.

Wdziewam but, patrzę — walizki niema.

Znowu krzyczę. Rewiduję wszystkich pasażerów. Walizki nigdzie.

Na wielkiej stacji poszedłem do specjalnego oddziału, aby zgłosić kradzież.

Nu, pożałowali mnie, zapisali. Ja mówię:

— Jeśli go złapiecie, odetnijcie mu, do djabła, ręce.

Śmieją się.

— Dobrze — mówią — utniemy mu ręce. Tylko ołówek połóżcie na miejsce.

I rzeczywiście, jak się to stało, wprost nie wiem. Wziąłem ze stołu ich atramentowy ołówek i włożyłem do kieszeni.

Agent mówi:

— U nas — mówi — mamy wprawdzie specjalny oddział, ale w krótkim czasie pasażerowie wszelkie przybory rozkradli. Jeden psi syn nawet kałamarz ściągnął. Z atramentem.

Przeprosiłem za ten ołówek i odszedłem.

Tak jest — mówię sobie — u nas odcinać ręce, to inwalidów byłoby co nie miara. To by się nie opłaciło!

Coś jednak zresztą trzeba wymyśleć przeciw temu złu.

Przynajmniej jest u nas taka odważna myśl: życie z każdym rokiem się poprawia — a w krótce zupełnie się zlepszy, a potem może ani złodziei nie będzie.

W ten sposób i problem będzie rozwiązany.

Zaczekamy.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 90)

Przez cały dzień unikał jej Kazimierz na każdym kroku; siedziała więc prawie ciągle w sypialnej kabinie, do której we dnie nie przychodził nigdy młody hrabia. Jeżeli jednak ją o co zapytał, to dawała mu krótkie odpowiedzi i przy pierwszej lepszej sposobności wychodziła z przedziału.

„Przeczuwa coś," rzekł Kazimierz do siebie, „szkoda, nie byłbym się zdradził ani jednem słówkiem, żem odkrył jej płeć. Jeżeli się dowie o tem, to stracę napewno mojego dobrego przyjaciela."

Przypuszczenie Kazimierza spełniło się wkrótce w straszny sposób.

W czasie czwartego dnia podróży pędził pociąg z olbrzymią chyżością, dopiero koło wieczora zwolnił biegu, ponieważ maszynista stosownie do przepisu musiał jechać wolniej z nastaniem ciemności.

Była dziesiąta godzina wieczór, — o dwunastej minut czterdzieści przyjdzie pociąg do Santa Fee, do celu, do którego dążył Kazimierz. — Dlatego nie opłaciłoby się, gdyby hrabia był poszedł na spoczynek; pozostał w bibljotece, gdzie po prawej stronie przez spuszczone okna wchodziło nocne, orzeźwiające powietrze.

Elżbieta na życzenie pozostała przy Kazimierzu; siedzieli naprzeciwko siebie przy stole i przeglądali różne książki.

Czytali jednak tylko na pozór, zapytani nie umieliby zdać sprawozdania z treści przeglądniętych książek.

CXL.

Wysadzony w powietrze

Nagle odłożył Kazimierz swoją książkę na bok i rzuciwszy przelotnie wzrokiem na przebraną dziewczynę, zawołał łagodnie:

„Bob, chodź do mnie!"

„Stoję na usługi," odpowiedziała Elżbieta z drżeniem w głosie.

„Nie tak, musisz przyjść całkiem blisko do mnie, Bob, — przysunąć się całkiem do mnie, muszę się z tobą rozmówić!"

Elżbieta podniosła się i drżąc na całem ciele obeszła stół. Stanęła tuż przed młodym mężczyzną, którego kochała; nagle opanowało ją przeczucie, że on już zna jej tajemnicę.

„Podaj mi twoją rękę, Bob", odezwał się Kazimierz, „przybliż się, — tak, twoja ręka taka zimna, — drży, — co tobie jest, Bob? Od kilka dni zmieniło się tak dziwnie twoje postępowanie, że nie mogę powstrzymać się od zapytania, co tobie właściwie jest? Czyś może niezadowolony ze swojej służby?"

„Ja, — niezadowolony? O panie!"

„Musisz przecież mieć jakiś powód tej zmiany humoru, wyspowiadaj się przedemną, możesz mi śmiało wszystko wyznać."

„Wszystko? — Nie, panie, nie mogę, — nie powinienem mówić, — proszę mnie nie pytać, ja jestem —"

Elżbieta nie mogła dłużej zapanować nad sobą, gorące łzy polały jej się z oczu.

„Kto jesteś?" spytał Kazimierz, podnosząc się powoli, „nie chcesz mi powierzyć swej tajemnicy?"

„Nie mogę —"

„Ha, w takim razie ja ci powiem prawdę: Użyłeś podstępu, aby się dostać do mojej służby, co za powody miałeś do tego, nie wiem. W każdym razie wierzę, że były ważne. Przypadek jednakowoż odkrył mi wszystko, ty nie jesteś chłopakiem, ty jesteś —"

„Najnieszczęśliwszą dziewczyną na ziemi," wybuchła Elżbieta z płaczem rzucając się przed Kazimierzem na kolana. „Tak, ja pana oszukałam, w błąd wprowadziłam," poczęła mówić dalej łkaniem przerywanym głosem, „pod fałszywą maską wśliznęłam się do pana. Jestem tak złą, zepsutą dziewczyną, że nie wiem czzy podobna do mnie była na świecie. Słuchaj pan, moje nazwisko Bob Raven jest fałszywe, nazywam się Elżbieta Ravington, — wołają mnie lady Elżbieta Ravington."

„Proszę wstać, lady Elżbieto," odezwał się Kazimierz łagodnie. „Nie potrzebuje sobie pani niczego wyrzucać, ani się oskarżać. Co między nami było, wie Bóg, może i cały świat się dowiedzieć; nawet najsurowsi sędziowie nie mogliby wypatrzyć ani plamki, którejbyśmy się wstydzić potrzebowali."

Kazimierz schylił się, chcąc obetrzeć łzami zalane oblicze dziewczyny i pomóc jej powstać, lecz w tej chwili rzuciła się z krzykiem w tył, wołając:

„Proszę się mnie nie dotykać, tak zepsute stworzenie, jak ja, jestem niegodne dotknięcia pańskiej ręki. Ach, żeby pan wiedział, jaka ja lekkomyślna! — Nie godnam, aby słońce mnie oświecało, niegodnam nawet pańskiego spojrzenia. Nie, — naprawdę, — proszę się odwrócić odemnie i wykrzyczeć mnie, bo inaczej, — biada, — inaczej powiem wszystko, — wyznam wszystko, co przed panem ukrywałam."

„Biedne dziecko," przemówił Kazimierz, pochylając się nad klęczącą i gładząc jej jasne włosy, „ja przeczuwam, co mi chcesz powiedzieć, co ci cięży jeszcze na sercu, ale z tego powodu nie potrzebujesz sobie robić wyrzutów, to nie grzech, — miłość nie jest zbrodnią."

Jakiś niezrozumiały okrzyk wydarł się z piersi Elżbiety, podskoczyła do góry, jakby ukropem sparzona i wyciągając drżące dłonie przed siebie, zawołała:

„Tak, odgadłeś pan moją tajemnicę, pokochałam pana od pierwszej chwili poznania, ale to było niecnie, niegodnie z mojej strony, bo w tem samem sercu nosiłam niegdyś kwiat miłości ku innemu. Byłam po słowie z jednym zacnym, poczciwym oficerem marynarki, który swe życie dla mnie zaryzykował.

„Ach, wówczas myślałam, że to prawdziwe, głębokie uczucie względem niego, a to był tylko odblysk jego silnej miłości, — morze pożarło go, — zostałam wdową, nie będąc mężatką."

„A potem," zawołał Kazimierz, „cóż potem?"



Słynna lotniczka angielska, Anny Mollison, ustaliła nowy rekord szybkości, przelatując z Kapsztadu do Londynu w przeciągu 3 dni i 6 godzin.

„Potem miałam mu zostać nadal wierną, na całe życie, to było przecież moim obowiązkiem i kto wie, czy nie wytrwałabym w tem, bom łzami jego zgon oblała, gdyby nie to, żem pana poznała.

„Od pierwszej chwili poznania się z panem, panie Kazimierzu Zamski, straciłam rozum i serce, — nie zdołałam wyrwać nowego uczucia ze serca, — było silniejsze od mojej woli. Ach, co ja przecierpiałam, słysząc z pańskich ust, jaką serdeczną miłością pokochałeś pan Anielcię! Ile razy chciałam sama sobie życie odebrać, a przecież byłam tak tchórzliwą, — nie mogłam się odczepić, rozłączyć się z panem.

„Chciałam zostać z panem tak długo, dopóki by się dało, potem — potem naturalnie nadszedłby, musiałby nadejść czas rozłąki. Jednak teraz, — teraz wszystko stracone, tajemnica moja zdradzona, — przypadek nieszczęsny odkrył panu wszystko, — dowiedział się pan, żem pana kochała, więc teraz, — teraz muszę życiem swojem zapłacić za ten występek. Kazimierzu, bądź zdrów, — bądź szczęśliwy z Anielcią, — Elżbiety Ravington nie ujrzysz więcej!" —

„Elżbieto, — dziewczyno, — co ty chcesz zrobić?"

Nieszczęsne dziewczę nie odpowiedziało mu. Jednym skokiem znalazła się tuż u okna, które we wagonie bibljoteki było bardzo szerokie i zupełnie otwarte. Zanim Kazimierz miał czas zrozumieć sytuację, wspięła się w górę i —

„Bądź zdrów, przypłacam życiem moją winę" — — doszło tylko do jego uszu złowrogo, — „idę połączyć się z tym, któremu złamałam wierność."

„Szalona, — stój!"

Kazimierz rzucił się gwałtownie ku oknu, — zapóźno, — biedna wypadła już z szybko pędzącego pociągu. Wy-

ciągnięte ręce Kazimierza trafiły na próżnię! Zanim Kazimierz miał czas wyjrzeć z pociągu, chcąc się przekonać, co się z nieszczęśliwą stało, pędził kurjer już o jaki kilometr dalej od miejsca wypadku.

Kazimierz nie zwlekając zaalarmował personel kolejowy. Z przerażeniem opowiedział im w krótkich słowach, że jego młody służący rzucił się z pociągu, prosząc prowadzącego pociąg konduktora o powstrzymanie tegoż jak najrychlejsze.

„To nie idzie, sir,“ odpowiedział mu tenże, gładząc sobie swoją siwą brodę, „nie śmiemy ani minuty spóźnienia mieć w Santa Fee.“

„Ależ tu się rozchodzi o życie ludzkie!“

„Sir, jeżeli ten młody człowiek wypadł z okna, to czy tak czy owak zgubiony. Nawet przy zwyczajnym pociągu opłaca się taki skok życiem, cóż dopiero przy kurjerze. Leży gdzieś na szynach z roztrzaskaną głową, o tem możesz być pan przekonanym, — on nie żyje!“

„W takim razie chcę bodaj odnaleźć trupa,“ odparł Kazimierz, „abym mógł go pogrzebać. To przecież święty obowiązek mój, ja proszę pana, zaklinam na wszystko, proszę zatrzymać pociąg.“

„Sir, za każdą minutę spóźnienia w Santa Fee płaci winny dziesięć dolarów.“

„Zapłacę chętnie, — tylko proszę zatrzymać!“

„W takim razie, bądź pan tak łaskaw i złóż pan zaraz jako rękojmię tysiąc dolarów tutaj,“ odpowiedział prowadzący pociąg ze zimnym spokojem, który żadnego Amerykana nawet w chwili gorącego niebezpieczeństwa nie opuszcza.

Kazimierz wyciągnął z kieszeni żądaną kwotę, mówiąc:

„Oto pieniądze, proszę dać sygnał! — tylko prędko!“

W minutę później stał dyszący, parą buchający smok ognisty spokojnie w środku lasów.

Kazimierz na czele sześciu urzędników, uzbrojonych w liny i piki, spieszył szukać ciała. Każdą piędź ziemi przeszukali na przestrzeni kilometrowej, ale nadarmo, ani kropli krwi, najmniejszego śladu nie spostrzeżono nigdzie.

Nagle konduktor prowadzący pociąg wskazał na przepaść, która tuż koło nasypu swą czarną gardziel roztwierała. Była może dwieście stóp głęboka, zarośnięta krzewami i cierniami.

„Otóż tutaj zagadka rozwiązana,“ odezwał się konduktor, „dlaczego dotychczas nie mogliśmy znaleźć trupa. Tutaj wpadł niezawodnie w głębię. Przyzna nam sir rację, że nie możemy przeszukiwać teraz przepaści. To by co najmniej pół dnia zajęło.“

Kazimierz widział, że urzędnik prawdę mówi. — — Przetrząśnienie tej przepaści było z niebezpieczeństwem życia, szukających połączone, zresztą nie mieli nawet stosownych przyborów ku temu. Po spadzistej skale musianoby szukających na linie w dół spuszczać.



Fotografja nasza przedstawia pole konkursowe, na którem rozegrają się zawody hippiczne, podczas letniej Olimpjady sportowej w Berlinie.

Z boleścią spojrzał w głębię. Nie wątpił, że tam w dole leży trup dziewczęcia, które życiem opłaciło nie błąd lub zbrodnię, tylko swój piękny sen, — sen pierwszej, prawdziwej miłości, — głębokiego, gorącego uczucia.

„Wracajmy,“ zawołał młody hrabia, prostując się energicznie, „wiem dosyć, — niech Bóg zlituje się nad tą biedną duszą!“

Prowadzący pociąg wyciągnął zegarek i rzuciwszy wzrokiem na wskazówki, odezwał się do Kazimierza:

„Straciliśmy dziewięć i pół minuty, to czyni dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Proszę pana, oto reszta pańskich pieniędzy.“

„Sto dolarów proszę rozdzielić pomiędzy personal pociągu,“ odparł Kazimierz, poczem pospieszył do wagonu.

W minutę później zagwizdał kurjer przeraźliwie i buchając parą począł gnać z nadzwyczajną szybkością. Widocznie maszynista był w porozumieniu z konduktorem prowadzącym pociąg. Postanowili zapewne powetować spóźnienie i zarobić sobie w ten sposób ładną sumkę łapowego.

Kazimierz cofnął się w głąb bibljoteki. Wiedział, że tam nie spotka żadnego z jadących pasażerów, a chciał być sam. Dopiero teraz poczęło go gryźć sumienie, że nie rozkazał przeszukać przepaści, że nie został na miejscu, aby rozpocząć poszukiwania za Elżbietą.

Ale czyżby to się naco zdało? — Pomógłby tem Elżbiecie?? W tem pustkowiu nie było ani domu w pobliżu, ani osady żadnej, któżby mu pomógł w przetrząsaniu tej głębokiej czeluści?

Nie, — nawet z najlepszemi chęciami nie zdołałby niczego uczynić dla biednej Elżbiety, — musiał ją zostawić przypadkowi losu. Ta jedna myśl uspakajała go nieco, że biedne dziewczę, spadając tak głęboko, zabiło się na miejscu, — nie potrzebowało się długo męczyć.

Aby oderwać myśl od tych ponurych obrazów, wziął książkę do ręki, próbując czytać, ale litery zaczęły mu skakać przed oczyma mimo natężenia nie zdołał się rozerwać.

Właśnie prowadzący pociąg konduktor przechodził przez bibljotekę.

„Przybędziemy wkrótce do Santa Fee?“ spytał Kazimierz.

„Jeżeli tak dalej będziemy jechali, przybędziemy bez spóźnienia. Jesteśmy już w pobliżu budki numer 97, to ostatnia stacja przed Santa Fee.“

Urzędnik poszedł dalej, otworzył drzwi — nagle — w tym momencie stało się coś strasznego.

Do grzmotu podobny huk rozległ się i trzask, jakby cały świat się walił. Kazimierz podrzucony jak piłka w górę miał tylko na tyle przytomności, że uczepił się sznurów siatki rozwieszonej w górze dla odpędzenia moskitów.

W następnej chwili uczuł przejmujący ból w całem ciele, poczem stracił przytomność.

Szczęściem było dla niego, że dobroczynny cień roztoczył się nad nim, że nie widział tej sceny pełnej strachu i przerażenia, jakiej wyobrazić sobie trudno, cóż dopiero opisać słowami.

Djabelski pomysł Alfreda Robbera i doktora Morizano udał się niestety, przynajmniej do tego stopnia, że kurjer przypędził rzeczywiście aż do tego miejsca, w którem był podłożony dynamit.

Ale eksplozja, po której obiecywali sobie obaj złoczyńcy, że wysadzi w powietrze cały pociąg, sprawdziła się tylko w części.

Lokomotywa i dwa pierwsze wagony wyleciały rzeczywiście w powietrze i zostały rozsadzone w drobne kawałki.

Maszynista i palacz z pasażerami pierwszych dwóch wagonów zginęli. Ale

przedostatni i ostatni wagon wykoleiły się tylko wskutek parcia powietrza. Ostatni wagon spadł na skałę i rozbił się także.

Przedostatni, w którym była bibljoteka, najmniej ucierpiał. Tuż obok skały przewrócił się łagodnie na stronę.

Stało się to wszystko w niespełna ćwierć minuty.

W tych kilku sekundach jednak straciło życie więcej jak pięćdziesięciu ludzi, została wyrządzona szkoda dla zarządu kolei przewyższała miljon.

CXLI.

Dwie damy, jeden mężczyzna

Lola i Anielcia nie widziały eksplozji, bo pomiędzy niemi a miejscem katastrofy wznosiła się wysoka skała, która zasłaniała im ten straszliwy obraz.

Ale zaledwie usłyszały huk podobny do grzmotu, domyśliły się w tej chwili, co się stało.

„Do mnie, Anielciu!“ zawołała Lola, zdradzająca wyraźnie przerażenie, jakie się w jej twarzy odmalowało, „musimy, ile możności prędko pospieszyć tam, wprawdzie zastaniemy tam tylko trupy i ciężko rannych, ale może potrzebną będzie jeszcze nasza pomoc! — Teraz odwagi, — choćbyśmy mieli nasze życie narazić na niebezpieczeństwo musimy przeszkodzić djabelskiemu zamiarowi Alfreda Robbera, który będzie chciał zapewne obedrzeć i obrabować trupy i skraść worki z pocztowego przedziału z pieniędzmi.“

W rzeczywistości zaraz po eksplozji znikł Alfred Robber, ale Lola nie wątpiła, że znajdzie go znowu na miejscu katastrofy.

Z wysiłkiem wszystkich sił pobiegły Lola i Anielcia koło skały. Widok, jaki im się przedstawił, był zdolny najodważniejszemu skrzepić krew w żyłach.

Jeszcze nigdy nie widziały tak strasznego obrazu, tyle nieszczęścia i zgrozy na jednym punkcie ziemi.

Z lokomotywy nie zostało się prawie nic.

Żelazny olbrzym, który przed kilku jeszcze minutami pędził tak dumnie przez pustkowie, ciągnąc za sobą szereg wagonów, został rozdarty na kawałki.

Dokoła leżały duże sztaby żelazne; koła wbiły się w ziemię aż po osi, a kocioł wyleciał w powietrze.

Niedaleko koła, jedynej resztki z dużej lokomotywy, znalazła Anielcia i Lola trupa z odciętą głową, — były to zwłoki maszynisty.

Za roztrzaskaną lokomotywą piętrzyły się rozbite wagony, które uległy także silnej eksplozji. Części drzewa, żelaza i podarte obicia leżały na całym torze, a z pośród tych resztek wyłaniały się wykrzywione twarze trupów, których rysów nie było można nawet rozeznać.

Wszędzie leżały części mózgów, kałuże krwi, ręce, nogi, a nawet i na skale było widać ludzkie ciała, rzucone tam siłą wybuchu.



Na ilustracji widzimy załogę holenderskiego Czerwonego Krzyża, po powrocie z Abisynji, w chwili opuszczania statku „Palembang".

Lola i Anielcia nie odkryły dotychczas ani jednej żywej duszy; widocznie razem z pociągiem zginęła także i cała służba. — Rozbicie okrętu nie pociąga za sobą tyle ofiar.

Anielcia przeraziła się na ten widok, lecz Lola ujęła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

„Musimy go szukać“, zawołała ochrypłym głosem, „jechał bowiem tym pociągiem; wiesz, o kim mówię.“

„Kazimierz“, odparła Anielcia po chwili z widocznym wysiłkiem; „mam tę tylko nadzieję, że przeklęty Robber zakpił sobie z nas. To będzie nieprawdą, że Kazimierz jechał tym pociągiem, — to niemożebne, Boże, na samą myśl odchodzę od zmysłów.“

„Może masz rację,“ rzekła Lola, „może Robber chciał nam tylko zakrwawić serca. W każdym razie musimy wszystko przeszukać. — Zresztą znajdziemy dużo nieszczęśliwych, którzy zapotrzebują naszej pomocy.“

Lecz trupy, o które się ciągle potykały, nie potrzebowały już żadnej pomocy; odeszły w krainę cieniów, do Boga, a ludzka pomoc na nic by im się nie zdała.

„Tam leży jakiś wagon, — musimy zaglądnąć. W tym wagonie znajdziemy może jaką żyjącą istotę.“

„Ah, prędko, Anielciu, patrz na te dwie postacie; — w jednej poznaję Alfreda Robbera. Kto jest obok niego?“

„Prawdopodobnie towarzysz Alfreda Robbera,“ odparła Anielcia; musimy uprzedzić tych szatanów, by im nie wpadli w ręce ludzie, którzy potrzebują może mojej pomocy.“

Po chwili Anielcia i Lola zbliżyły się do wagonu; wejście do wagonu było nadzwyczaj trudne, ponieważ cały wagon przewrócił się na jedną stronę.

„Bandyci uprzedzili nas,“ zawołała Lola, spoglądając przez okno do wnętrza wagonu, „widzę ich przed sobą; przeszukują wszystko, lecz na Boga, jeżeli mi się dobrze ustawią, to pociągnę za kurek. Będę zadowoloną, jeżeli uwolnię ludzkość od tych potworów.“

Lola, wymawiając te słowa, wskoczyła przez okno do wagonu, a Anielcia poszła także za jej przykładem.

Kobiety kroczyły po stosach książek, wnioskując z tego, że się znalazły w bibljotece pospiesznego pociągu.

Nagle zatrzymała się Lola i dała znak ręką Anielci, by nie wymówiła ani słowa. W rogu wagonu zobaczyły Alfreda Robbera i jego dobranego wspólnika.

Mężczyźni pochylili się właśnie nad ludzkiem ciałem, które leżało na podłodze zupełnie bez ruchu.

„To on,“ posłyszała Lola głos Alfreda Robbera, mówiącego do swojego towarzysza, „znalazłem wreszcie moją ofiarę.“

„Do djabła,“ odparł drugi mężczyzna; Anielcia cofnęła się z przerażeniem na odgłos tej mowy. „Do djabła, hrabia Kazimierz Zamski nic mnie nie obchodzi! Szukam małą lady, musimy ją znaleźć, inaczej cała robota nie zda się ani psu na budę.“

„Bądźcie spokojni, doktorze, znajdziemy ją,“ odparł Alfred Robber, „tymczasem skrócimy jednak żywot temu człowiekowi. Jeżeli się nie mylę, to mój przyjaciel nie odniósł żadnej rany. Tem lepiej; przetnę mu gardło sztyletem i w ten sposób spełnię to, czego nie dokonała eksplozja.“

Lola zobaczyła w ręce bandyty lśniący sztylet. Podniosła ramię, — mierzyła z zimną krwią, która zadziwiła Anielcię, — i w tej samej chwili, kiedy Robber przyłożył sztylet do gardła Kazimierza, pociągnęła za kurek. —

Robber opuścił ramię z dzikim okrzykiem, sztylet wypadł mu z dłoni, Anielcia i Lola widziały potok krwi, spływający z ręki złoczyńcy, jego wykrzywione rysy i zielone oczy, płonące dzikim ogniem wściekłości i zemsty.

Lecz Lola nie straciła przytomności.

„Precz, potworze!“ zawołała piorunującym głosem. „Nadeszła twoja godzina, — nie jesteśmy same! — dziesięć męż-

czyzn, — których sprowadził tutaj ślepy przypadek, — idzie za nami, — poddajcie się!“

„Uciekajcie, doktorze,“ krzyknął Robber, „trzeba się spieszyć! Upływ krwi osłabił mnie, bardzo, ledwie stoję na nogach; pomóżcie mi się wydostać z tej klatki, inaczej jestem zgubiony!“

Lecz doktor Morizano myślał tylko o własnym ratunku.

Ze zwinnością kota wyskoczył z wagonu, a Alfredowi Robberowi nie pozostało nic innego, jak tylko uciekać mimo zranionej ręki.

Lola posłała za nim jeszcze drugą kulę, lecz tą razą strzelała więcej na ślepo, tak, że kula przebiegła Alfredowi tuż obok lewej wargi.“

Rzeczywiście ucieczka udała się łotrom; Anielcia i Lola zaniechały pościgu. Były zadowolone z osiągniętego wyniku, — Kazimierz należał do nich, — był uratowany, jeżeli go wogóle można było ratować.

„Kazimierzu!“ zawołała Lola i uklękła obok ciała młodego mężczyzny. „Kazimierzu, — to on, — o mój Boże, nie żyje!“

Anielcia nie mogła wymówić ani jednego słowa, błędnym wzrokiem spoglądała na kochanka, który niegdyś należał do niej niepodzielnie, a którego widziała znowu bez ruchu i życia jako ofiarę strasznej zbrodni.

Stała jak słup soli, podobna do marmurowej rzeźby, w której artysta wykuł wyraz wierności i bólu.

Nie mogła dopomóc Loli, która drżącą ręką rozpinała Kazimierzowi surdut i kamizelkę, — szukając odgłosu serca.

Przeszła minuta, — mimo długiego milczenia, strasznego oczekiwania, ale po chwili zawołała Lola z radością:

„Żyje, — jego serce bije, — wyratujemy go! Anielciu, pomóż mi; zaniesiemy go do mojego drewnianego domu.“

Lola powtórzyła jeszcze raz swoje słowa, ponieważ młoda dziewczyna nie mogła podnieść nawet rąk. Wreszcie przetarła oczy, jakby zbudziła się z ciężkiego snu i pomogła Loli wynieść kochanka przez okno na świeże nocne powietrze.

Było to ciężkie zadanie dla Anielci i Loli, — zadanie wymagające większych sił, aniżeli posiadały nasze bohaterki.

Lecz miłość działa cuda!

Lola była wprawdzie głównym czynnikiem; wydawała rozkazy i spełniała wszystko. Anielcia dopomagała jej tylko; w każdym razie dziewczyny tworzyły cudowny obraz, kiedy wytężały całe siły, celem uratowania ukochanego mężczyzny.

Wreszcie Kazimierz znalazł się na polu, gdzie Lola i Anielcia nie miały już tyle trudu, co w wagonie. Ujęły Kazimierza i niosły go do drewnianej stacji.

Nie mówiły ani słowa do siebie, Lola płakała ciągle, a Anielcia szła jakby bez zmysłów.

Niektóre boleści z powodu swojego ogromu nie wywołują łez z ludzkiej duszy. Bezmiar cierpienia tłumi perliste łzy i zamyka je w głębi serca.



W Niemczech zawiązały się wśród młodzieży towarzystwa straży pożarnej. Do organizacyj tych należą chłopcy i dziewczęta. Na zdjęciu widzimy karne szeregi młodych strażaków w pełnem umundurowaniu, podczas ćwiczeń.

Na stacji umieściły Kazimierza na posłaniu, które należało do Niklasa Dombey.

Na ciele Kazimierza nie było widać zewnętrznych obrażeń. Kawałek szkła wbił mu się w lewą wargę i spowodował małą ranę; lewe ramię wisiało bezwładnie i było pokryte niebieskiemi plamami, — znak złamania ręki.

Kazimierz doznał widocznie wstrząśnienia mózgu, gdyż leżał zupełnie bez ruchu. Usta były zamknięte, a cała twarz okryła się trupią bladością.

„Umiera!“ zawołała Anielcia, widząc, jak nagle Kazimierz zaczął się uśmiechać, „umiera! — Wszystko napróżno, — jego oczy zawarły się na wieki, — nigdy nie przemówią do nas te usta, — umrze, nie odzyskawszy przytomności.“

„Będzie żył!“ odparła Lola z przekonaniem, którego Anielcia nie mogła zrozumieć, „będzie żył, ponieważ musi żyć! Nie, Bóg nie zechce jego śmierci, pierwej dowie się ileś przecierpiała z jego powodu. — Powiesz mu to wszystko, a jeżeli nieba użyczą nam tylko pół godziny, to odstąpię ci tę chwilę miłości i błogosławieństwa, a dla siebie będę prosić tylko o kilka sekund — by zobaczył moją skruchę i pokutę.

„Nie mówmy jednak o sobie, nie wiemy bowiem co się stanie,“ zawołała niecierpliwie piękna kobieta, „przedewszystkiem musimy się postarać dla Kazimierza o doktora.“

„Gdzież znajdziemy?“ odparła Anielcia, „okolica jest zupełnie pustą i niezamieszkałą; w pobliżu niema żadnego lekarza.“

„Niestety tak“, rzekła Lola, „najbliższy lekarz mieszka w Santa Fee, na szczęście rozporządzam jednak dobrym środkiem. Zostań przy Kazimierzu, a ja zatelegrafuję do Santa Fee o pomoc lekarską.“

Lola wybiegła do drugiego pokoju i nadała depeszę do zarządu kolei w Santa Fee, w której równocześnie zawiadomiła o strasznym wypadku, który spotkał pospieszny pociąg. Dodała, że tylko jeden pasażer pozostał przy życiu, a i temu grozi śmierć, jeżeli nie przyjdzie szybka pomoc. Dlatego trzeba zaraz posłać lekarza do stacji cji pod numerem 97. Lola miała jeszcze tyle przytomności umysłu, że zakończyła depeszę następującemi słowami:

„Zbrodniarz, który wysadził pociąg w powietrze, jest niejakim Alfredem Robberem, odznaczającym się rudym włosem, jego towarzysz doktor Morizano nosi siwą brodę i posługuje się okularami. Trzeba zaaresztować natychmiast tych złoczyńców!“

Elektryczna iskra zaniosła tę wiadomość do Santa Fee, a później zobaczymy, jaki skutek wywarła ta depesza.

Lola przystąpiła znowu do łóżka, przy którem klęczała Anielcia.

Piękna urocza dziewczyna złożyła ręce, a jej koralowe usta szeptały cichą modlitwę.

„Co robisz?“ zawołała Lola, „modlisz się, jak widzę, — módl się, jeżeli ci się podoba, ja muszę zająć się czemś ważniejszem.“

Podała nieprzytomnemu trochę wina i mleka, tarła szczotką jego nogi, by w ten sposób wprawić krew znowu w obieg, czoło obłożyła zimnymi okładami, a gdy Anielcia chciała jej dopomóc w tych czynnościach, odparła głośno i stanowczo:

„Nie, Anielciu, wystarczy moja praca; oddaj mi Kazimierza Zamskiego, jak długo znajduje się w nieprzytomnym stanie. Przyrzekam ci i przysięgam jeszcze raz, że będzie twoim, skoro odzyska przytomność.“

Ten stan nastąpił po trzech godzinach od katastrofy.

Zegar obok telegraficznego aparatu

wskazywał pół do trzeciej, gdy Kazimierz dał pierwszy znak życia.

Dotychczas leżał zupełnie bez ruchu, z jego ust nie wyszła ani jedna skarga. Nagle zaczął jęczeć, a gdy Anielcia załamała ręce z rozpaczy, pouczyła ją Lola, że to jest pomyślnym znakiem.

„Przedtem mogłaś rozpaczać," rzekła, „gdy nie czuł swoich boleści; teraz odzyskuje powoli czucie, a prawdopodobnie w krótkim czasie zniknie także bezprzytomność."

Zimne okłady, które Lola zmieniała co pięć minut, wpływały widocznie dodatnie na stan chorego, ponieważ za każdą zmianą wydobywało się z jego piersi westchnienie ulgi.

Nagle otworzył oczy i skierował swój błędny wzrok na kobiety, stojące obok jego łóżka.

„Budzi się," zawołała Anielcia, drżąc na całem ciele, „patrz, Lolu, — spogląda na nas."

„Tak, lecz dotychczas nie wymówił naszych nazwisk."

„Teraz mówi," odparła Anielcia, „pozwól, że się zbliżę do niego."

„Chcesz lepiej słyszeć?" zapytała Lola gorzkim tonem, „czy twoje imię wyjdzie najpierw z jego warg; — a gdyby w gorączce przypominał sobie dawną żonę?"

Anielcia wymówiła bez namysłu gorzkie słowo, które uderzyło w serce Loli jak sztylet.

„Ciebie?" zawołała, „niemożliwe, — dlaczego miałby pamiętać o tobie?"

Szyderczy uśmiech rozległ się w pokoju, a oczy Loli zabłysły chwilowo złowrogiem ogniem; w następnej jednak sekundzie opanowała się Lola i jej twarz przybrała znowu marmurowy wyraz.

„Zobaczymy, które imię wypowiedzą najpierw jego usta," zawołała Lola i jakby na umówiony znak pochyliły się nad leżącym mężczyzną.

Kazimierz otworzył oczy, jego źrenice rozwarły się szeroko, dreszcz przebiegł jego ciało, a z warg spłynęło ciche słowo —

„Elżbieta!"

Lola wybuchła tryumfującym śmiechem.

„Usta Kazimierza nie wypowiedziały ani twojego ani mojego imienia; inny obraz panuje w jego duszy. — Haha, myśli w gorączce o trzeciej kobiecie. Haha, to jest wierność mężczyzny! — Dwie kobiety stoją przy nim i łchną do niego miłością, — a on, — myśli o trzeciej i śmieje się z obydwóch."

„Nieprawda," odparła Anielcia, prostując się dumnie. „Tego nie uczyni Kazimierz Zamski. Nie wiem, którą z nas kocha, to jednak jest pewne, że jej obraz nosi ciągle w sercu. Jeżeli w gorączkowym śnie wymówił jej imię, to jego serce niema z tem nic wspólnego."

„Haha, jesteś chłopcem?" zawołał nieprzytomny, „wybornie! — Może jesteś szpiegiem doktora Morizano? Nie, twoja twarz jest za poczciwa, — ach, głos, wołający z przepaści o pomoc, — spuście linę, — dlaczego się zniechęcacie, — sam zejdę, — jestem gotowy zaryzykować moje życie."

„Słyszysz?" szepnęła Lola, „chce poświęcić dla niej swoje życie; potrzebujesz jeszcze dowodów, — że się zakochał w tej Elżbiecie?"

„Gorączkowe sny nie są jeszcze dowodem," odparła Anielcia, cicho, — znowu mówi."

„Nie chcę czytać tej książki," zawołał Kazimierz, „ha, ci ludzie stoją ciągle bezczynnie. — Ach, nie trzeba się dziwić, — cały świat jest jednym wielkim domem obłąkanych, — czerwoni mężczyźni? mówi, tak, to Indjanie, — uwolnię ją, — będę za nią walczył, — dlaczego chcecie ją powiesić? — Przecież powiedzieliście, że jest niewinną! — Weźcie moje życie, General Transatlantic twierdzi, że umarła? — Ach, ludzie nie umierają tak prędko, prawda. Elżbieto, „Gloire de France" zatonęła, wy jednak zdołałybyście się uratować?"

„Gloire de France!" zawołała Anielcia, „święty Boże, mówi o okręcie, na którym jechałam i pyta Elżbietę o szczegóły? — Stwórco w niebiesiech, to Elżbieta Ravington, moja przyjaciółka, towarzyszka i siostra!"

Gorączkujący zrozumiał zapewne te słowa; zawołał bowiem po chwili:

„Elżbieta Ravington, tak, biedna, mała lady, — — szkoda, że nie była chłopcem, nie znajdę wierniejszego sługi. — Mister Arbuckle, niech się pan zgodzi. — Proszę o oświadczenie, że pan nie ma do niej żadnych pretencji! — Żąda pan pieniędzy? — daję za każdą spóźnioną minutę tysiąc dolarów, — liczmy, — dobrze dwadzieścia miljonów, — zapłacę, — ale Anielcia zostanie moją!"

„Anielcia!" zawołała biedna dziewczyna, „Anielcia, chwała Bogu, moje imię nie zamarło w jego sercu!"

Lola osunęła się bezwładnie na stołek. Błędny wyraz jej twarzy przybrał coś złowrogiego.

Ah, myślała, że jest silniejszą, sądziła, że potrafi zejść z drogi swojej rywalce i oddać jej ze spokojnem sercem ukochanego Kazimierza.



Przyjemny i słodki jest odpoczynek w zacisznym, słonecznym ogrodzie, zdala od gwaru i zgiełku miasta.

Teraz zobaczyła dopiero, jak bardzo pomyliła się bardzo w swoich rachubach. Z pierwszem słowem, które wymówił gorączkujący Kazimierz, zbudziły się w jej duszy demony zazdrości i wstrząsnęły tak silnie jej sercem, że wszystkie dobre przedsięwzięcia i zamiary pierzchły nagle jak nocne widziadła.

Anielcia pochyliła się nad chorym, oparła się o łóżko i słuchała bacznie, co szeptały usta Kazimierza.

Jego myśli obracały się teraz ciągle koło Anielci.

„Tak, Anielciu," zawołał, a głos jego brzmiał silnie i stanowczo, „przychodzę i proszę cię o przebaczenie. — O, wiem wszystko, wyrządziłem ci wielką przykrość, lecz tylko straszna pomyłka rozłączyła nas od siebie, daruj mi, — przebacz!"

„Przebaczyć?" szepnęła Anielcia, zalewając się łzami; zaczęła znowu płakać, ponieważ poznała, że jest jeszcze kochaną, „czy ci mogę przebaczyć, mój Kazimierzu? Nie wątpiłam nigdy o tobie, kocham cię dawną miłością i nie przestanę kochać aż do grobu."

„Wezmę cię ze sobą," mówił Kazimierz, „zamek Sokolskich jest przybrany w świąteczne szaty. Ah, jak pięknie pachną te fiołki i róże; słyszysz dzwony, wołają nas do kościoła, — nie, to nie jest katedra Notre-Dame, — dzwonią w polskiej świątyni, ksiądz czeka na nas, — — chodź, Anielciu, — zaprowadzę cię — do komnaty!"

Anielcia uklękła przy łóżku; wzięła go za rękę i wsłuchiwała się w jego słowa; — ach, w tej chwili zapomniała o wszystkich troskach.

Kazimierz myślał o niej, jego usta wymawiały jej imię, a bezładna mowa świadczyła, jak głęboko ją kochał!

Było to poniekąd słodkiem zadośćuczynieniem i nagrodą za te wszystkie troski, które jej zgotowała nieszczęśliwa miłość.

Lecz światło świadomości zgasło znowu w głowie Kazimierza.

Chory przymknął oczy i z bolesnem westchnieniem opadł na poduszki. Lecz bezwładność nie była podobną do odrętwienia, które zwykle jest zwiastunem śmierci. Jego duch i ciało popadło w pokrzepiający sen, po którym można się było spodziewać jak najlepszego wyniku.

„Śpi," szepnęła Anielcia, kładąc rękę na jego czole, — „śpij spokojnie, biedny kochanku. Wiem, żeś nie usnął na wieki, zbudzisz się znowu, a wtedy, — wtedy nie stanie między nami żadna przeszkoda, — wtedy połączymy się nazawsze.

„Nieprawda, Lolu," dodała Anielcia, „ty także będziesz się cieszyć naszem szczęściem, pogodzisz się z tą myślą..."

Słowa zamarły na wargach Anielci, ponieważ zauważyła nagle, że Lola wyszła z pokoju. Prawdopodobnie opuściła mieszkanie, podczas gdy Anielcia wsłuchiwała się w słowa Kazimierza. Anielcia podniosła się i otworzyła drzwi, prowadzące do drugiego pokoju, lecz i tutaj nie było Loli. Otwarła okno, wołała, — naprózno. Dokoła panowała cisza, — nikt się nie odzywał!

Anielcia poczuła dziwną trwogę. Co się stało Loli? Dlaczego oddaliła się niespostrzeżenie? Dlaczego odeszła bez słowa pożegnania? Przecież jeszcze przed chwilą walczyła o życie Kazimierza i obawiała się, podobnie jak Anielcia, czy owa katastrofa nie spowoduje jego śmierci.

Gdzie się podziała piękna ciemnowłosa kobieta, która z rywalki przemieniła się w przyjaciółkę?

Anielcia wyszła na pole, lecz jak daleko sięgał jej wzrok, nigdzie nie widziała Loli. Wołała ją ciągle, lecz jej głos gubił się bez echa w ciemnym lesie. W tych kilku minutach nie mogła się daleko oddalić, nawet gdyby opuściła stację z zamiarem, by do niej więcej nie powrócić.

„I ja się pytam," zawołała nagle Anielcia, „I dziwię, dlaczego odeszła od nas?! — O, jak samolubną jest miłość człowieka. Przecież Lola go także kochała i zapewne jeszcze go kocha! Ach, nie zniosła tego, że wymawiał tylko moje imię i interesował się moim losem. Czyż miała obojętnie patrzeć, jak się cieszyłam słowami Kazimierza? — Nie, serce kobiety nie zniesie tego! Tak, rozumię cię, Lolu, odeszłaś, nie chcąc spoglądać na przebudzenie i spotkanie naszych serc, lecz wrócisz znowu, gdyż jesteś naszą — przyjaciółką."

Anielcia weszła do stacji; obowiązek wołał ją do łoża boleści ukochanego mężczyzny.

CXLII.
Krzyż w lesie

Gdzie była tymczasem Lola, ta blada demoniczna kobieta, która opuściła posłanie Kazimierza? Przed chwilą stała przy nim, gotowa walczyć ze śmiercią, gdyby jej widmo zjawiło się u wezgłowia, gotowa, poświęcić własne życie, byle tylko wyratować ukochanego ze szpon śmiertelnych.

Gdzie była Lola, gdzie jest Lola, gdzie ją znajdziemy?

Głęboko w lesie, na brzegu skały, która spadała prostopadle w przepaść wznosił się zwykły kamienny krzyż. Ząb czasu zaznaczył go różnemi rysami, a zielone mchy obrosły jego ramiona. Napis, który wyryto niegdyś w kamieniu, stał się z biegiem czasu nieczytelny, — od postawienia tego krzyża minęły bowiem całe dwa wieki.

Dziwny znak pamiątki w pustkowiu zachodnio-amerykańskiego lasu!

Przed dwoma wiekami został zamordowany na tem miejscu przez Czerwone Skóry pewien misjonarz, który niósł odważnie Indjanom światło nauki Chrystusa.

Krew szlachetnego męczennika, który umarł, spoglądając z zachwytem w niebo, jakby widział tam oczekujące go chóry anielskie, spłynęła po skale, i o dziwo: tam na dnie przepaści kwitnęły z każdą wiosną najpiękniejsze lilje i kąpały się aż do późnej jesieni w słonecznych blaskach.

Misjonarzowi postawiono później na tem miejscu kamienny krzyż. Jego towarzysze wykuli napis, który miał oznajmiać następnym pokoleniom, że tutaj umarł bohater chrześcijańskiej wiary.

Krzyż oparł się wiatrom i slocie; niejedna burza przeleciała nad znakiem wiary, a mimo to stał ciągle na skale. Tylko napis był już nieczytelny i nikt nie byłby w stanie odgadnąć tekstu.

Bluszcz wznosił się dokoła krzyża, objął jego ramiona i zasłaniał go przed natarczywym wzrokiem ludzi.

Rzadko zabłąkał się tutaj jaki człowiek, a zanim zbudowano kolej Pacific, nie powstała tam wogóle ani stopa ludzka. Krzyż stał w odludnem miejscu i ukrył się w gąszczu przed ludzkiem okiem.

Ale dzisiaj, w tym strasznym dniu katastrofy pospiesznego pociągu, który wyleciał w powietrze przez zbrodniczą rękę, dzisiaj leżała u stóp krzyża ludzka istota, dzisiaj odzywał się ludzki głos nad brzegiem przepaści i odbijał się stokrotnem echem w ciemnym, głuchym borze, podobnem do śmiertelnych języków zamordowanego misjonarza.

Zdawało się, jakby jeszcze raz odgrywała się ta straszna scena, — ten dowód ludzkiej podłości. Z ludzkiej piersi wydobywało się łkanie, jęk i rozpaczliwe błaganie.

U stóp krzyża leżała młoda, piękna kobieta, wijąc się z bólu; jej przecudne oczy, połyskujące od czasu do czasu dziwnym ogniem, wylewały całe potoki serdecznych łez.....

Była to Lola; uciekła z pokoju w drewnianym domu, posłyszawszy imię „Anielcia", które wymówiły gorączkujące usta Kazimierza.

Lola wyprostowała się nagle, wzniosła w górę złożone ręce, a z jej warg wydobyły się ciche słowa:

„Nie, — nie, — nie chcę być dobrą i szlachetną, — nie, — nie mogę! O, wiem, czuję, że stoję znowu nad brzegiem przepaści; chciałabym się zwrócić i uniknąć piekielnych sideł, a jednak nie mogę spełnić tego zamiaru.

„Przyrzekłam sobie zapomnieć o Kazimierzu, błagałam Boga, by mi użyczył siły do tego; chciałam zapanować nad sobą i wyrzec się szczęścia. Któżby się opanował z moją boleścią i troską?!



W Holandji i Anglji hodują ogrodnicy warzywa zamiast w olbrzymich, oszklonych cieplarniach, pod specjalnemi słojami, których widzimy bardzo dużo na zdjęciu.

„Znalazłam go, niosłam go w moich ramionach do domu, pochyliłam się nad nim, szukając odgłosu serca, któreby go przywróciło do życia!

„A gdy otworzył powoli powieki i przychodził do przytomności, — wyszeptały jego usta i imię, które niestety nie należało do mnie. Obraz innej kobiety panuje w jego duszy.

„O niej myślał tylko, — stanęłam w rogu, czując, że dla mnie niema tutaj miejsca.

„Mam się tem zadowolić," mówiła Lola jak szalona, „i moją ręką przypieczętować szczęście tej drugiej dziewczyny?

„Nie, może istnieją takie szlachetne natury, które są zdolne do tego kroku, często się słyszy i czyta o podobnych wypadkach, — lecz mojem zdaniem są to tylko szalone, głupie serca.

„Życie jest krótkie, dlatego trzeba je sobie o ile możności jak najlepiej uprzyjemnić, a biada temu, który w nierozważonej szlachetności zrzeka się ze swojego udziału.

„Ach, dlaczego właśnie teraz sprowadziły losy Anielcię do drewnianego domu, dlaczego nie byłam samą! — Wówczas byłby moim, — tak, tylko moim!

„Tak, spoglądaj na mnie ty blady księżycu; wiesz dobrze, że potrafię dać szczęście mężczyźnie i odurzyć jego zmysły szaloną miłością!

„Kazimierz byłby się nie oparł tym wdziękom, gdyby nie ta Anielcia. A ja, — ofiarowałam jej moją przyjaźń, po-

dałam jej rękę i uczyniłam to wszystko tylko dlatego, ponieważ wiedziałam, że przedemną stoi moja rywalka.

„Myślałam początkowo, że się pokochamy; przecież nie czuję do niej nienawiści, ani ją nie prześladuję. — Lecz jeżeli stanie między nami mężczyzna, wówczas jedna z nas nie powinna żyć na świecie, jedna musi ustąpić, a że ja nią nie będę, — o tem jestem przekonana."

Lola podniosła się powoli; nie bała się, chociaż mogła spaść w przepaść, gdyby zrobiła jeden nierozważny krok. Stała nad samym brzegiem otchłani.

Patrzyła przed siebie. Z rozwianym włosem, bladą twarzą, złowrogiem spojrzeniem, była podobną w tej chwili do Medei, myślącej nad zemstą dla niewiernego Jazona i jego dzieci.

„Muszę ją odebrać od niego," zawołała Lola, „nie dla niej znalazłam ukochanego i wyratowałam go od pewnej śmierci. Nie, musi być moim, tylko moim, nawet gdybym miała z nim uciec do Palestyny! Ach, coby to za rozkosz była żyć z Kazimierzem zdała od światowego zgiełku, w jakiejś skalnej jaskini!

„Obecnie nie rozporządza swoją wolą. Teraz zdany jest na moją łaskę; nigdy nie znajdę lepszej sposobności, nigdy nie będę w takiem położeniu. Dlatego trzeba działać. Jeszcze tej nocy muszą padnąć kostki; więc dobrze, niech się stanie!"

Lola powstała, rzuciła jeszcze raz wzrokiem w stronę krzyża, jakby się obawiała, czy zimny głaz nie zdradzi jej tajemnicy; następnie związała swoje bujne włosy, wyjęła małe kieszonkowe lusterko i oglądała uważnie swoje rysy.

Ta dziwna kobieta umiała tak panować nad sobą, że z jej twarzy nie można było nigdy poznać wewnętrznego stanu duszy.

Po chwili zdążała ku drewnianej stacji kolei Pacific.

Anielcia posłyszała kroki Loli w sąsiednim pokoju, wydała radosny okrzyk i odbiegła od łoża Kazimierza, przy którym dotychczas siedziała.

Dwie młode, piękne kobiety stały teraz naprzeciwko siebie w tym pokoju, w którym niedawno temu wrzała straszna walka między Lolą a Alfredem Robberem.

„Lolu", zawołała Anielcia, „co robisz? Szukałam cię wszędzie i wołałam za tobą, lecz nigdzie nie mogłam cię znaleźć."

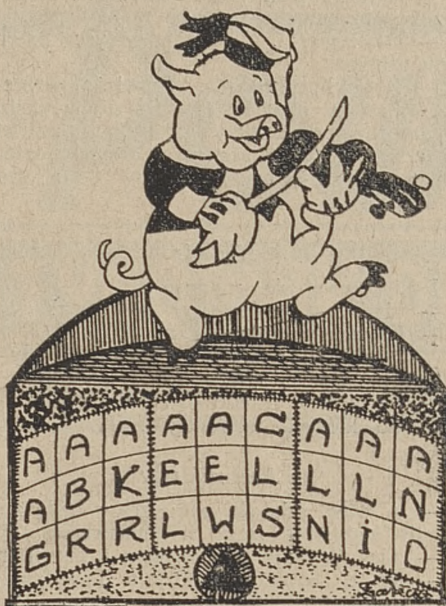
„Słyszałam", odparła Lola, „byłam jednak za daleko i dlatego nie odpowiedziałam na twoje wołanie. Zresztą musiałam i tak zaraz powrócić. Chcesz wiedzieć, gdzie byłam? Dobrze, będę otwartą: wybiegłam na szyny, oglądając się, czy ze Santa Fee nie nadchodzi pomoc. Nie widać jakoś lekarzy; boję się, czy nie przyjadą zapóźno!"

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Tajemnica w kwadratach

uł. F. Gałecki — Głowno



Każde 9 liter poprzestawiać tak, aby otrzymać normalną magirekonstrukcję. Pierwszy rząd górny, poziomy da rozwiązanie.

SZARADA

uł. Wacław B. — Gniezno

Krótki to wyraz,
bo z czterech sylab się składa,
a mieści w sobie
instrument nielada.
Ongiś, przed laty, raz-czwarta
boską ręką raz-wspak,
ludziom czwór pożytek była sypana,
aby uniknąć z tej dwa-trzy.
Druga-trzecia-czwarta
często spotykana,
tam rzeka płynie
pół-czwartej wspak-trzecia
w prastarym kraju,
która to wspak rybę zrobi.
Szarada się kończy,
a cała niech raz wspak
zagra mi te nuty:
„Nie gniewajcie się czwór mnie,
żem dla nieposnaki
powsadzał tu liczne wspaki".

Rozwiązanie zadań z nr. 20 „Moich Powieści": Logogryf — przekładanka: 1. Plama 2. Rolka 3. Kafel 4. Karba 5. Trema 6. Sodka 7 Taksa 8 Laska 9. Styka 10. Rączy 11. Oskar 12. Kwita. Całość: Alfred Ksycki. Szarada: Polak.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp.: Anicet Roguski — Wieliczka, Pelagja Łochiczówna — Kostopol, Jan Dudek — Gostyczyna, W. Piwoński — Płock, Aleksandra Weissówna — Jarosław, „Wirryt", Wiesław Przybylak — Pleszew, „Eros".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Aleksandrze Weissównie z Jarosławia i „Wirrytowi".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. H. K. z Łabiszyna. List wysłaliśmy. Czy nie otrzymał Pan dotychczas odpowiedzi w „Krainie"? Chyba tak!

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 31 maja 1936 r.

8.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja nabożeństwa przed gmachem Wojew. Śląsk. w Katowicach z okazji Jubileusz Zjazdu Śpiewaków Śląsk. 12.15 Popularny poranek muzyczny z Wilna 14.30 „Wesołe opowiastki góralskie" 14.45 „Trzy zbiory w dwóch latach" — pogadanka 15.30 Muzyka pogodna (płyty) 16.30 Reportaż z życia (sportowy) 17.00 „1000 taktów muzyki" — gra zespół Stefana Rachonia 18.00 „Wakacje w Nohant" — słuchow. oryg. J. Iwaszkiewicza 18.30 Koncert w wyk. Orkiestry P.R. pod dyr. M. Mierzejewskiego 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Transmisja ze Lwowa fragm. koncertu jubileuszowego Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego „Echo-Macierz" 22.20 Muzyka taneczna w wykonaniu zespołu Adi Rosnera.

Poniedziałek, dnia 1 czerwca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Św. Krzyża w Warszawie 10.30 Najpiękniejsze melodje Franciszka Schuberta (płyty) 12.03 Poranek muzyczny (ze Lwowa) 14.30 „Pszczoły rojem uciekają, bo pszczelarza dosyć mają" — djalog 15.30 „Piosenki i wierszyki" Marji Konopnickiej — aud. dla dzieci młodsz. 15.45 Koncert popularny w wyk. Orkiestry Filharm. z Ciechocinka 16.45 „Kobiety zasłużone" — „Dr. Justyna Budzińska-Tylicka" — pogadanka 17.00 Muzyka lekka 18.20 Recital fortepianowy Bolesława Woytowicza 19.30 Koncert Kwartetu Salonowego Rozgłośni Krakowskiej 20.00 Recital śpiewaczy Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej 20.30 „Na fundamencie nieszczęśliwej miłości" — feljeton 21.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojen. pod dyr. A. Dulina 22.00 Wiadomości sportowe 22.15 Transm. meczu piłkarskiego 22.30 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 2 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.15 Audycja dla szkół „Śpiewajmy piosenki" 12.35 Same marsze (płyty) 16.00 Koncert w wykonaniu zespołu F. Raabego z Poznania 16.45 „Skarby Polski" — „Literatura polska" odczyt 17.00 Utwory fortepianowe na 4 ręce w wyk. Ignacego Rosenbauma i J. Sulikowskiego 17.30 Mała Ork. R.P. pod dyr. Zdzisława Lifana 19.45 Wyścig piosenek — potpourri muzyczne 20.30 „Prus i Sienkiewicz, a ekspedycja z r. 1882 do Kamerunu" — szkic lit. 21.00 Koncert muzyki operowej w wyk. Ork. Symf. P.R. 22.15 Concertino na flet, altówkę i kontrabas (z Poznania) 22.25 Transmisja muzyki tanecznej z Ciechocinka.

Środa, dnia 3 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka i taneczna z basenu w Ciechocinku 12.55 „Sianokosy" — gawęda inż. Jana Rapackiego 15.45 Teatr Wyobraźni „Uczeń Sowizdrzała" — słuchowisko dla dzieci starszych 16.15 Koncert orkiestry kameralnej z Wilna 17.00 Arje i pieśni w wykonaniu Walentyny Walewskiej 17.25 Koncert kameralny w wyk. Warsz. Kwartetu Smyczkowego 17.50 „Anegdoty z życia Mickiewicza" 19.00 Polska Kapela Feliksa Dzierżanowskiego 20.00 Muzyka operetkowa 20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji" 21.00 Pierwsza audycja chopinowska z cyklu „Kandydaci do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego" 21.30 „Białe kruki" — reportaż muzyczny Celiny Nahlik 22.15 Trio salonowe 22.45 Muzyka taneczna — transmisja z Café Club.

Czwartek, dnia 4 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert w wykonaniu Zespołu Haliny Adamskiej 15.45 „Wywiad" Kazimierza Piekarczyka — opowiadi. z życia harcerzy 16.00 Piosenki dla dzieci 16.15 Koncert popularny z Ciechocinka 17.50 „Higjena odżywiania dziecka w lecie" — pogadanka 19.00 „Znów tajemnicza fala! Przerywamy audycję" — premjera słuchowiska 19.30 Recital fortepianowy Janiny Familier-Hepnerowej 20.00 Transmisja z Międzynarodowych Zawodów Konnych 21.00 „Nasze pieśni" w wykonaniu Maurycego Janowskiego 22.05 „Sport w miastach i miasteczkach" (z Wilna) 21.30 Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet g-moll 22.15 Transmisja z kawiarni „Ziemiańskiej" w Łodzi i muzyka taneczna.

Piątek, dnia 5 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka z płyt 12.15 Audycja dla szkół z okazji „Dnia spółdzielczości" 12.40 Muzyka 16.00 Koncert muzyki lekkiej w wyk. orkiestry 56 p.p. 16.45 „Skarby Polski": „Literatura polska" — odczyt II 17.00 „Serenady" — w wyk. or. kamer. pod dyr. Adama Hermana 18.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami 19.00 „Życie człowieka w pieśni" — koncert 19.45 „W sklepie ha! ha! ha! — audycja muzyczna 20.30 „Dwie groteski" — Magdaleny Samozwaniec 21.00 Koncert symfoniczny w wyk. Ork. Symf. PR. 22.15 Muzyka lekka z Ciechocinka oraz muzyka taneczna z płyt

Sobota, dnia 6 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Zespół salonowy Pawła Rynasa 14.30 Orkiestra Eduardo Bianco i Adam Aston — śpiew 15.45 „Album z Polski" — audycja dla dzieci młodszych 16.00 Koncert solistów z Kościoła Św. Piotra i Pawła, poświęcony Ks. Piotrowi Skardze 16.40 „Nasz dostęp do morza dawniej i dzisiaj" — odczyt 17.00 „Rozśpiewany Wiedeń" — koncert w wykonaniu pięciu tysięcy artystów na wiedeńskim stadjonie. Transmisja z Wiednia. Erna Sack oraz Jan Kiepura. 20.00 Transmisja z Międzynarodowych Zawodów Konnych w Warszawie 20.15 Audycja dla Polaków z zagranicy „Wołyń" 21.00 Koncert muzyki szwedzkiej z okazji święta narodowego Szwecji 21.45 Kukułka wileńska 22.30 Muzyka taneczna z Ciechocinka oraz muzyka z płyt.

HUMOR

Rzadki okaz

W pewnym muzeum przewodnik, zatrzymawszy się przed jakąś starą zardzewiałą armatą, objaśnia ciekawych:

— To jest armata z czasów Aleksandra Macedońskiego...

— Ale wtedy jeszcze armat nie było — przerywa mu jakiś ktoś.

— Tem bardziej okaz rzadszy.

Nowa „perła“

— Proszę pani, jak właściwie mam prosić do obiadu? Czy mam powiedzieć, że już jest nakryte, czy też, że jedzenie jest gotowe?

— Jeżeli będzie takie jak wczoraj, to powiedz, że obiad jest przypalony!

Darmo nic

— Dlaczego nie zbiłeś tego łobuza, kiedy cię obraził?

— Jestem zawodowym bokserem i nigdy nie okładam nikogo pięściami, jak mi za to nie zapłacą.

Zawiadomienie

Józef był terminatorem szewskim. Niezbyt dobrze powodziło mu się u pana majstra, który nie pieścił go zbytnio.

Dnia pewnego rodzice otrzymali od Józka następujący list:

— Jak już wam pisałem, drodzy moi rodzice, majster ostatnio ciężko się rozchorował. Przychodzili lekarze, ale nic nie pomogło i oto wczoraj serce oraz ręka pana majstra przestały bić...

Współczesne dziecko

— Wiesz, tatuś mówił mi, że w Ameryce są domy, które mają po czterdzieści pięter wysokości....

— O, w takim domu, to chciałbym zjeżdżać po poręczy!

Pamiątka

— Jakto? I ty nie masz żadnej pamiątki po twej teściowej, która w tak tragiczny sposób umarła w Afryce?

— Niestety, nie. Jedyną rzecz, którą mi przysłano, to fotografja murzyna, który ją zjadł.

Ksantypa

Żona, do męża rezerwisty, który odjeżdża na 6-tygodniowe ćwiczenia:

— Jedź z Bogiem, ale ja napiszę jeszcze do twego kapitana, żeby ci nigdy nie dawał klucza do kasarni.

W szkole

Lekcja historji w szkole. Nauczyciel zwraca się do jednego z uczniów:

— Powiedz mi, co zrobił Batory, gdy wstąpił na tron?

Malec zastanawia się chwilę, wreszcie odpowiada:

— Co zrobił? Usiadł!

Odwrotna strona medalu

Pan Agapit kupuje materje na ubranie. Cała rodzina zbiera się i podziwia próbki materjałów. Tylko syn nie interesuje się wierzchnią stroną materjału i uważnie studjuje odwrotną stronę materjału.

— To jest właściwa strona dla mnie — odpowiada synek. — Przecież ja noszę tylko ubrania przenicowane po tatusiu!

— Ty barania głowo — zwraca się ojciec — dlaczego oglądasz materję z drugiej strony?

Ważna przeszkoda

Wszystko zostało już przygotowane do ślubu, który miał się odbyć w niedzielę, gdy nagle wpada narzeczony i woła:

— Hallo!... Wstrzymać wszystko!.. Nasz ślub nie będzie mógł się odbyć w niedzielę!

— Dlaczego?!... — pytają wszyscy przerażonym głosem.

— Bo obliczyłem — odpowiada narzeczony — że, gdyby nasz ślub odbył się w niedzielę, to srebrne wesele przypadłoby na czwartek, a we czwartek mamy zazwyczaj dużo klijentów w sklepie i ja nie mam czasu na żadne uroczystości!...

Zasada

Pani dzwoni do restauracji.

— Hallo... Czy jest tam mój mąż?

— Niema go, proszę pani.

— Skąd pan wie, że go niema, kiedy pan nawet nie wie kto dzwoni?

— Bo u nas, proszę pani, nigdy niema mężów, do których telefonują żony.

Przewidujący

— A więc, gdy się pobierzemy będę z tobą dzielił wszystkie troski i zmartwienia...

— Ależ, Arturze, ja nie mam żadnych trosk!

— To też powiedziałem: gdy się pobierzemy.

Dotrzymał słowa

— Stasiu! Czy ty wiedziałeś o tem, że Kasia stłukła wazę?

— Tak, mamo.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi odrazu?

— Nie mogłem łamać umowy.. Umówiliśmy się z Kasią, że ja nie powiem o wazie, a ona nie będzie mnie myła przez tydzień.

Obraza

— Wyzwałem twojego szwagra na pojedynek.

— Za co?

— Nazwał mnie idjotą.

— Przecież ja ci to nieraz mówiłem.

— Ty, to co innego. Ty mnie znasz od dziecka.

Chwała Bogu — nie

— Czy małżonek pani jest chory?

— Nie, chwała Bogu! Siedzi w więzieniu.

Małżeństwo gwiazdy filmowej

W urzędzie stanu cywilnego urzędnik mówi do gwiazdy filmowej, która przyszła ze swoim narzeczonym, by zawrzeć związek małżeński:

— Pani jest rozwódką, tak? — Dobrze, a więc proszę przedewszystkiem o informacje o pani poprzednich małżeństwach.

— Ależ to straszne — przecież tam na dole czeka na nas taksówka!

Praktyczny braciszek

Mały Jaś i jego jeszcze młodsza siostrzyczka Renia, dostali od mamy po sporym kawałku świeżego upieczonego tortu. Jaś zwija się jak może ze zjedzeniem swego kawałka a gdy włożył już ostatni kąsek do buzi, mówi do siostry:

— A teraz, wiesz co Reniu, może zabawimy się w ogród zoologiczny ?— Ja będę słoniem, a ty mnie będziesz karmiła swojem ciastkiem.

Podstępny klient

— A więc, panie mecenasie, po tem gdy panu całą sprawę przedstawiłem jasno, jak pan myśli — czy proces może być wygrany?

— Napewno, proszę pana.

— No to muszę dać spokój skardze, bo tak właśnie wygląda sprawa ze strony mego przeciwnika.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI“ — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Kycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Kysycki w Żninie